

12-

Młody Las

kwartalnik młodzieży harcerskiej

Nº 65-66 — Buenos Aires — Argentyna — Styczeń - czerwiec 1969



25 ROCZNICA BITWY O MONTE CASSINO
18.5.1944 — 18.5.1969

APEL POLEGŁYCH

Historia naszego narodu znaczone jest nazwami bitew i imionami tych, którzy życie złożyli w służbie dla Ojczyzny, ginąc śmiercią żołnierza na polach bitewnych w kraju i na obczyźnie na morzach i w powietrzu; jak również imionami tych, którzy zginęli tam gdzie trwała walka samotna w obozach śmierci: Katynia, Oświęcimska, Workuty, Ravensbrück i w tych wszystkich miejscach kaźni i tortur, których wymienić nie sposób.

Dzisiaj obchodząc 25 rocznicę zwycięskiej bitwy o Monte Cassino uczcijmy Ich pamięć chwilą ciszy i silnym postanowieniem kontynuowania dalszej walki o te ideały, za które oddali swe życie w ofierze dla Polski:

Żołnierze Rzeczypospolitej Polegli na polach bitew podczas żagwiącego września 1939 roku: Westerplatte, Kutno, Warszawa, Modlin, Hel i Kock; Żołnierze Brygady Podhalańskiej, którzy zginęli w walce za WOLNOŚĆ nad fiordami Narviku;

Żądzięko zamordowani Żołnierze Rzeczypospolitej w Katyniu i innych obozach kaźni, wyniszczeni w niezliczonych obozach pracy i pomordowani w więzieniach Rosji sowieckiej;

"Sławni turyści", Żołnierze Brygady Karpackiej polegli w zwycięskiej walce z Niemcami w Tobruku i pod Gazalą;

Harcerki i Harcerze rozstrzelani na ulicach i rynkach miast Polskich, zakatowani Obywateli Rzeczypospolitej w obozach koncentracyjnych, zamęczeni w więzieniach podczas niemieckiej okupacji ziem polskich;

Bohaterscy Żołnierze 2 Polskiego Korpusu we Włoszech polegli na bojuwiskach Monte Cassino, Piedimonte, Loreto, Ankony i Bolonii;

Żołnierze Armii Krajowej polegli w niezliczonych potyczkach i bitwach w ustawniczej i nieustawniczej walce z okupantem niemieckim — uczcijmy Bohaterską Warszawę;

Żołnierze 1-ej Pancerniej Dywizji polegli w zwycięskim pościgu za cofającym się nieprzyjacielem — cześć Wam Żołnierze — cześć Pałaise;

Lotnicy: bohaterscy myśliwcy, załogi dywizjonów rozpoznawczych i bombowych polegli w niezliczonych walkach w powietrzu poczynając od września 1939 roku poprzez zwycięską bitwę o Anglię i odwetowe naloty na Niemcy;

Marynarze okrętów wojennych i statków handlowych, którzy oddali swe życie w niezliczonych konwojach i walkach na morzach i oceanach świata.

CZEŚĆ I CHWAŁA POLEGŁYM!

Kończąc ten apel oddajmy hołd tym, którzy z naszych szeregów odeszli, zostając na zawsze na stokach Monte Cassino, a swą postawą i czynem dali dowód, że zaszczytne zasady służby Polsce — Harcerstwo nie tylko głosi lecz także wprowadza w życie.

Niech Oni będą dla Was przykładem ofiarności i wzorem służby dla Polski.



**W BITWIE O MONTE CASSINO
NA WIECZNĄ WARTĘ
NA ZAWSZE
ODESZLI:**

dh Baranowski Jerzy	hm Mandra Fryderyk
dh Gasiński Tadeusz	dh Metropolit Jan
dh Hapanowicz Feliks	phm Mierzejewski Jan
dh Iwaszkiewicz Kazimierz	dh Rudzki Jan
dh Jarski Adam	dh Sekula Stanisław
dh Jasiewicz Władysław	phm Siemek Jan
dh Jurczyk Tadeusz	dh Sikora Zdzisław
dh Kadzikowski Leon	dh Skórczewski Arkadiusz
phm Kawalec Zbigniew	dh Stankiewicz Janusz
hm Kluczyński Rajmond	dh Śniadowski Wiesław
dh Kiepusa Ignacy	dh Tarczyński Kazimierz
dh Krukowski Jan	hm Trzaskowski Tadeusz
dh Krupa Marian	dh Trykowski Brunon
dh Krupski Kazimierz	dh Umiastowski Jan
dh Kruszyński Wacław	hm Wilkosz Edmund
dh Lasecki Henryk	dh Wojciula Jan
dh Latak Eugeniusz	dh Żołnierczyk Leopold
dh Maciejowski Zygmunt	

LIST Z FRONTU

Poświęcony pamięci
phm Jasia Mierzejewskiego

Piszę do Ciebie słów tych parę,
Z m. p. — gdzie ludziom śmierć zagłada w oczy...
Gdzie wszystko wokół pionie krwi pożarem
I najdzielniejszych łęk ku ziemi tłoczy.

Drga rozpalone tony wzgórz agonią —
Rwane straszliwym hukiem bomb na ćwierci,
Odlamy stali ponad głową dzwonią
Swą pieśń zniszczenia — ponurą pieśń śmierci...

Bezkresne chwile, jak wieczność się wloką...
Sam nie wiesz na co z zapartym tochem czekasz,
A nerw i myśl twoją z zmęczonym oko
Już nie przeważa ogień dział z daleka.

Zaciskasz jeno dłoń swą na Thompsonie
I jeśli czego pragniesz w takiej chwili,
To chyba tylko, by po tamtej stronie
Choć jeden jakiś szwab też wychylił...

I kiedy czasem milknie kamonada
I wiadmo śmierci ginie z echem strzałów,
Wtedy są chwile, gdy na serce pada
Dziwna tęsknota — i wśród skalnych zwalów

Biegną ku tobie szlakiem dróg tajemnych
Myśli me z wieścią, że przetrwałem jeszcze
Tę noc i tyle innych nocy ciemnych,
Zimna i zgrozy, przejmujących dreszczem.

Wezoram mi granat zabrał przyjaciela
Jasia — na nowe wiekuste m. p.
Odszedł, by złożyć u stóp Zbawiciela
Krwawy meldunek — rytu stali strzępem

Na piersi młodej, gorącej a mężnej,
Którą nie tylko zdobył krzyż harcerski,
Ale i cnoty w skali niebosiężnej
I serce wierne ideom rycerskim!

Za młodoś odszedł, Jasiu, Druhu miły
Z kręgiem nielicznych — w drogę przyznaczenia.
Nie mogąc złożyć dziś u Twojej mogiły
Kwiatów — przyjm od nas tę chwilę milczenia

I tręś modlitwy, zawartą w tej ciszy
Od swych serdecznych — broni towarzyszy...

Chciałbym Ci jeszcze napisać coś więcej,
Lecz kończyć muszę, bo znów grzmieją armaty...
Żegnaj! Bądź dzielny! I wierz najgoręcej,
Że przetrwam wszystko i wrócę do chaty!

A jeśli zechce zarządzić los inaczej,
Jeśli nie wrócę... to nie masz co płakać!
Pójdź dalej w życie — bez cienia rozpaczny,
Bo jeśli zginę — to śmiercią Polaka!

Józef Szwed



KAZIMIERZ WIWATOWSKI

TRADYCJA WALKI

Leż pozostanie po mnie ta siła fatalna,
która żywnu na nic, jeno czoło zdoła.
I będzie was po mej śmierci gniotła, niewiadała,
aż was, zjadacze chleba, w Aniołów przerobi!

(J. Słowacki)

Za kilka miesięcy Harcerstwo Polskie przejmie z rąk przedstawicieli Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie misję kontynuowania Tradycji Niepodległościowej.

W wolnym kraju, misja niepodległościowa polega na ochronie i zachowaniu istniejącego stanu rzeczy. W naszych warunkach jest misją walki i tradycją walki.

Nie chodzi o przeszczepianie w szeregi harcerskie militarystyki i pokaz Bitwy o Monte Cassino jako miejsca na którym ma się odbyć uroczysty akt przekazania, opiera się na głębszych podstawach.

Kto podejmuje się walczyć, musi znać zasady walki. Musi znać elementy, któ-

re z niej czynią skuteczne narzędzie działania zespołowego. Środki techniczne i taktyka podlegają zmianom, dyktowanym przez okoliczności. Podstawowe elementy moralne są czynnikami stałymi. Nie wpływa na nie teren, typ akcji, sposób działania.

Wiem, że piszę dla młodzieży, która wchodzi w wiek XXI. Która współczesności w kulcie technifikacji, Czczy racjonalizm myślenia i planowania. Do której nie tak nie przemawia, jak naukowca rzeczowość w analizowaniu faktów i zjawisk. Młodzieży, której jedyną prawdziwą tradycją jest przyszłość.

Szukanie wskazówek i przykładów — dla tej młodzieży — w odbytych przed ćwierćwieczem Bitwie o Monte Cassino, może się wydawać anachronizmem. Jak

był już słyszał: "Ufa!.. Znowu to Monte Cassino!.. Kiedyż wreszcie skończą?"...

Nie ma żadnego "Ufa!". druhowie! Nie ma anachronizmu. Nie chodzi o sam epizod wojenny. Nie chodzi o stetryczale wspomnienia "starych". Epoka, w jaką wchodzić, rządzi się coraz powszechniej elektroniką. Liczy, klasyfikuje, planuje w oparciu o przeliczniki elektroniczne (nie przekonywuje mnie widziany gdzieś neologizm "komputery"; coś to za blisko kompotu, kompotiery, suszonych śliwek i rabarbaru). Najnowsze modele tych przeliczników pozostawiły już za sobą etap rozwiązań czysto liczbowych. Pracują w oparciu o elementy analogii. Oznacza to, w pewnym sensie, i w skali trudnej do przewidzenia, koniec t. zw. anachronizmu. Nie ma anachronizmów. Są dane wiadome, o znanych efektach działania w znanych warunkach. Użycie ich staje się konieczne dla ustalenia czynników niewiadomych, które by doprowadziły do osiągnięcia zamierzonego skutku, w warunkach jakie nie są jeszcze znane.

Nie mówmy więc o anachronizmie. Szukajmy, lepiej, analogii pomiędzy podstawowymi elementami moralnymi, jakie rządziły Bitwą o Monte Cassino, a tradycją Walki o Niepodległość, jaką przejmujemy Harcerstwo.

Nie będę szkiełował tutaj przebiegu bitwy. Dla zainteresowanych tematem istnieją odpowiednie wydawnictwa. Po polsku i po hiszpańsku. Chodził, w tej chwili, o niezbędne elementy moralne walki prowadzonej zbiorowo. Bitwa o Monte Cassino jest doskonałym przykładem zastosowania tych właśnie elementów.

Trzeba chcieć walczyć. To jest podstawowy element. Walczyć bez względu na to, czy ewentualny sukces oznacza osiągnięcie podstawowego celu, czy nie oznacza. Trzeba mieć nadzieję, ale nie warunkować nią walki. Najpierw się traci nadzieję. Potem dopiero przestaje się walczyć. A przestaje się, gdy już nie ma kto. Albo nie ma z kim.

Tak bilismy się pod Monte Cassino.

Nie ma zbyt małej funkcji, nie ma za-dania nieważnego, nie ma ani jednego

człowieka zbędnego w zbiorowej walce. Wszystko jest najważniejsze. Od każdego zależy wynik. Sposób wykonania jednej akcji może umożliwić i ułatwić akcję prowadzoną na innym szczeblu, na innym odcinku. Albo utrudnić ją, odwręć, udaremnić.

Ranni w pierwszym natarciu, w dniu 12 maja, żołnierze uciekali z punktów opatrunkowych, ze szpitali, żeby zdążyć na drugi atak. "Tam trudno było, jak cholera! Trzeba pomóc chłopakom, bo sami jeszcze sobie rady nie dadzą..."

Niepowodzenie, porażka, brak oczekiwanych wyników — upoważniają do jednego tylko wniosku. Że trzeba większej uporczywości, większego wysiłku, bardziej stanowczej decyzji, lepszej koordynacji, większego rozmachu.

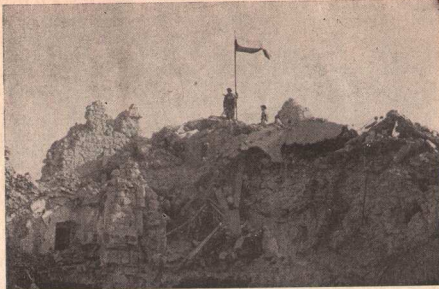
Bataliony rzucone do drugiego natarcia w dniu 17 maja, szły z takim rozmachem w straszliwy teren i w straszne warunki bitwy, z taką zawziętością, z taką pogardą śmierci, jak gdyby pierwszy atak stanowił już część szukanego zwycięstwa. Po całym dniu ciężkiej walki, nie udało się osiągnąć rozstrzygniętych rezultatów. I 18-go o świcie, pomimo strat, nieludzkiego wyczerpania, braku rezerw (bo wszystkie zostały zaangażowane), te same oddziały wznowiły natarcie. I to już był koniec. To było definitywne złamanie woli oporu przeciwnika. Woła własną, która nie uległa załamaniu. Ale która, przecież, mogła się była załamać.

Duch przykazań harcerskich bliiski jest bardzo tym elementom moralnym, koniecznym w każdej prawdziwej walce, jakie starałem się tu naszkicować.

Chodziłoby więc, raczej o przypomnienie, o podkreślenie znanych prawd podstawowych. O odświeżenie przykładu, gdzie takie właśnie zrozumienie ducha walki dało w efekcie wspaniałe zwycięstwo.

Harcerze przejmują tradycję walki o niepodległość. Od przedstawicieli Polskich Sił Zbrojnych. Z dobrych rąk. W dobre ręce. Jestem pewien.

Dlatego to przypomnienie pewnych zasad. Walka nie jest łatwą. Nie jest krótką. Choć w żadnej walce, jak długo trwa, nie wiadomo nigdy jak daleko,



GEN. DYW. ZYGMUNT BOHUSZ-SZYSZKO

BITWA O MONTE CASSINO

Bitwa o Monte Cassino dla nas, Polaków, miała znaczenie bez porównania głębsze i szersze niż jakakolwiek inna zwycięska walka, stoczona przez wojsko polskie w czasie drugiej wojny światowej. Pomijając powszechnie znane jej aspekty polityczne i propagandowe, możemy bez przesady stwierdzić, że ponadto była ona bitwą o przyszłość zarówno 2 Korpusu, jak i tej "małej Polski", którą gen. Anders stworzył na terenie Związku Sowieckiego i wprowadził później na Środkowy Wschód.

Ta "mała Polska" była w swoim czasie zakoczona dla władz sowieckich, a następnie dla Anglików. Żadne umowy i traktaty jej nie przewidywały i nie uchwały. Tylko świadoma

czy też jak blisko, znajduje się moment zwycięstwa. I nikt nie wie, jak i kiedy, w jakiej postaci, może się objawić ta "siła fatalna" podjętego trudu, o jakiej tak pięknie i przejmująco pisał kiedyś Słowacki.

A trzeba walczyć. I choć ta walka jest inna, jeśli chodzi o teren i środki techniczne, elementy moralne konieczne do jej prowadzenia pozostają bez zmian.

I to jest wszystko, co chciałem wam powiedzieć, druhowie.

Czuwajcie!

wola, a raczej samowola gen. Andersa sprawiła, że w zasięgu działań i wpływów Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.S.R. powstały prawie równocześnie z wojskiem: sierociniec, szkoły różnych typów, instytucje wydawnicze, prasa, harcerstwo, organizacje katolickie i społeczne, ośrodki dla ludności cywilnej, domy wypoczynkowe dla uzdrowieńców, środki położnicze oraz sanatoria dla gruźlików.

Tak jak żołnierze przez swą przynależność do wszystkich klas społecznych odzwierciedlali przekrój narodu polskiego, tak wspomniane instytucje i organizacje skupiały w sobie wszystkie polskie potrzeby społeczne, dawały oparcie duchowe i materialne ludności cywilnej oraz podtrzymywały w niej wolę przetrwania i zwycięstwa. Ich liczba oraz zasięg wpływów przekroczyły znacznie wszystko to, co było przedtem zorganizowane przez masę władze w Anglii.

Gdy w kwietniu 1942 r. rozpoczęła się tzw. pierwsza ewakuacja wojska polskiego z Rosji sowieckiej, władze angielskie na Środkowym Wschodzie były zaskoczone przybyciem również znacznej liczby dzieci, kobiet i ludzi starszych. Spodziewano się tylko wojska.

General Anders nie zastosował się do protestów angielskich w tej sprawie, przekazał mu przez władze nasze w Londynie. W

związku z tym ludność cywilna wyjechała z Rosji sowieckiej razem z wojskiem zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej ewakuacji, która się odbyła w sierpniu 1942 roku.

Wszystkie wspomniane instytucje i organizacje społeczne, znalazły się na wolnej ziemi Persji, Iraku, Palestyny i Egiptu, natychmiast rozwinęły swą działalność. Anglicy postawieni wobec faktu dokonanego, okazali dużo dobrej woli i rzetelnie się zajęli losem ludzi wyczerpanych długotrwałym głodem i zniszczonych przez choroby i nieudźką pracą w łagrach i więzieniach. Nasza "mała Polska" uzyskała wprawdzie od nich zgodę na istnienie, lecz mimo to od pierwszych dni nieustępliwie trzeba było walczyć o jej rozmiary, a także i o środki materialne, potrzebne do jej życia i rozwoju.

Jesienią tegoż roku w Iraku została dokonana reorganizacja wojska przybyłego z Rosji. W oparciu o angielskie etaty mogliśmy stworzyć tylko jeden korpus, złożony z dwóch dywizji piechoty i brygady czołgów, na więcej bowiem nie starczało ludzi. Nawet ten jeden korpus, w porównaniu z korpusami angielskimi, był niekompletny i stosunkowo słaby, bo dywizje piechoty miały tylko po dwie brygady, a nie po trzy.

W skład 2 Korpusu Polskiego weszły: 3 Karpaska i 5 Kresowa dywizje piechoty. Wszystkie inne zostały rozwiązane i oddały ludzi do tworzenia brygady czołgów, artylerii i innych korpusnych broni i służb.

Gen. Anders zdawał sobie sprawę z tego, że zachowanie jak najdłużej nazwy "Armia Polska" wzmocnia naszą pozycję w świecie, podnosi na duchu ludzi w Kraju oraz dzięki możliwości bezpośrednich rozmów na najwyższych szczeblach — ułatwia rozwiązywanie różnych spraw życiowych z władzami brytyjskimi. Gen. Sikorski zatwierdził odpowiedni wniosek, i oboj dowódcy 2 Korpusu zostało nadal utrzymane dowództwo armii, które przyjęło nazwę "Dowództwo Armii Polskiej na Wschodzie". W praktyce jednak nie było rozdzielania stanowisk dowódcy armii i dowódcy korpusu, bo obie funkcje pełnił nadal gen. Anders.

Z biegiem czasu kryzys stanów liczebnych pogłębił się i przysparzał coraz więcej kłopotów. Zasoby ludzkie znajdujące się na Środkowym Wschodzie wciąż malały, ponieważ rezydowały malarii i innych chorób tropikalnych nabytych w Rosji sowieckiej pociągająca za sobą

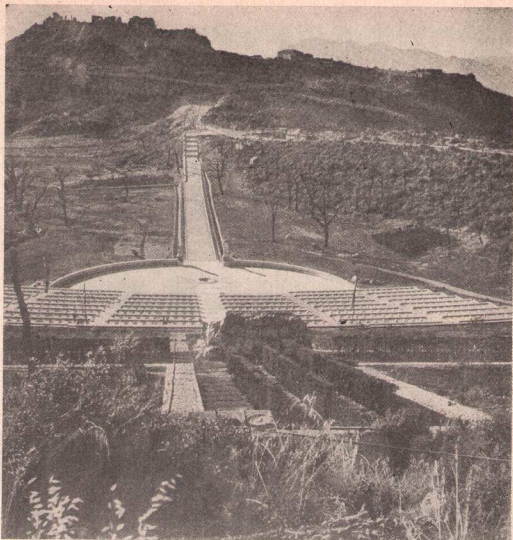
wysoki stopień śmiertelności, a zapotrzebowanie na uzupełnienie jednostek istniejących dawniej i formowanych teraz wzrastało nieustannie.

W drugiej połowie 1943 r. zagadnienie to przybrało wyjątkowo ostre formy. Sztaby angielskie odnosiły się niechętnie do polskich odchyleń od etatów i poświęconych wzorów. Wędląg ich zdania tylko i zastosowanie realnego rachunku mogą dać najlepsze rozwiązania. Warunki polityczne i propagandowe nie powinny być powodem odchylenia od etatów lub ich zmiany. Skoro w oddziałach polskich, a przede wszystkim w marynarce i lotnictwie, stacjonowanych w Anglii, wykuszły się stany liczebne — należy przywieść ludzi ze Środkowego Wschodu i uzupełnić braki. A skoro 2 Korpus na Środkowym Wschodzie nie ma jednostek zapasowych, które miałyby ludzi na uzupełnienia przyszłych strat bojowych — trzeba też korpus zmniejszyć lub rozwiązać i nadać mu organizację nową, dostosowaną do praktycznych możliwości.

Angielscy dowódcy wyższych szczebli nie zawzięli ten punkt widzenia sztabowego i lepiej rozumieli nasze położenie.

W listopadzie 1943 roku przyjechał na Środkowy Wschód ówczesny nasz Naczelny Wódz, gen. broni K. Sosnkowski. W czasie podróży miał on konferencję z dowódcą frontu włoskiego, gen. Alexandrem, i z amerykańskim dowódcą frontu europejskiego, gen. Eisenhowerem, na której poruszona była również sprawa ewentualnej reorganizacji 2 Korpusu.

Gen. Anders przedstawił gen. Sosnkowskiemu stan pogotowia bojowego swych jednostek i podał swój punkt widzenia na sprawę reorganizacji. Twierdził on, że każda zmiana z konieczności musi zająć sporo czasu i odwiec termin wyruszenia korpusu na front co niezawodnie będzie wykorzystane przez propagandę hitlerowską i sowiecką. Zmniejszenie liczby wielkich jednostek w korpusie przekreśli możliwość utrzymania na froncie bojowym samodzielnego, operacyjnego odcinka "polskiego"; działania nasze w tym wypadku ograniczone będą do ram taktycznych i — uzależnione wężynie od pomniejszych dowódców sprzymierzonych — zagubią się w kalejdoskopie działań jednostek brytyjskich. Znaczenie polityczne i propagandowe takich działań byłoby niewątpliwie małe.



Zmarnowany zostałyby również tak poważny czynnik moralny, jakim dla Polski i dla Armii Krajowej byłaby wiadomość o istnieniu korpusu polskiego uzbrojonego przez Anglików i walczącego na europejskim froncie.

Rozwiązanie jednej z dywizji musiałoby wwołać wielkie rozgoryczenie wśród żołnierzy. Jednostki korpusu nosiły nazwy "Karpaty", "Lwów" i "Wilno", a ich żołnierze pochodzili właśnie z tamtych stron. Pułki i bataliony zostały sformowane przeważnie na sowieckiej ziemi w warunkach niesłychanie trudnych. Podwładnych z dowódcami wiązały wspomnienia nadziei i wspólne w łagrach i więzieniach, a wzajemne zaufanie zapewniali wysoką wartość bojową tych oddziałów.

Naczelny Wódz uznał słuszność stanowiska

gen. Andersa i upoważnił go do poczynienia wobec władz angielskich kroków zmierzających do zachowania dotychczasowego stanu organizacyjnego 2 Korpusu.

Gen. Wilson, ówczesny brytyjski dowódca wojsk sprzymierzonych na środkowym Wschodzie, znał już 2 Korpus z przeprowadzanych inspekcji, wyrażał uznanie dla Polaków za rozmach w pracy i wysiłki wyszkolenia osiągnięte w rekordowo krótkim czasie oraz ocenił we właściwy sposób sprawę polską. Stał on na stanowisku, że najważniejszą w danej chwili sprawą — zarówno dla Brytyjczyków, jak i dla Polaków — jest szybkie znalezienie się korpusu na bojowym froncie. W związku z tym był przeciwny dokonywaniu zmian organizacyjnych, jako powodujących nieuchronną zwołkę.

W sprawie uzupełnienia przyszłych strat bojowych — budzącej największej wątpliwości w sztabach angielskich, a będącej w danej chwili niewątpliwie sprawą najtrudniejszą do załatwienia — gen. Wilson na wiarę przyjął argumenty, przytoczone przez gen. Andersa. Gen. Anders stwierdził, że nasze, polskie położenie różni się pod tym względem zasadniczo od położenia angielskiego, bo wówczas kiedy oni mają swe uzupełnienia w kraju, daleko z tyłu frontu — my mamy je przed sobą — u nieprzyjaciela. Uzupełnieniem naszym bowiem będą tysiące obywateli polskich, których niemieckie władze wcieliły przymusowo do swego wojska. Żołnierze ci, gdy znajdują się na froncie i dowiedzą się, że walczą tutaj korpus polski, masowo będą dezertowali i przechodzili na tę stronę, by jak najszybciej obrócić broń przeciwko Niemcom. Będą oni dobrze wyszkoleni, a ich moralna i bojowa wartość w większości wypadków będzie taka sama, jak starych żołnierzy 2 Korpusu.

Na front włoski wyruszył 2 Korpus w grudniu 1943 roku w niezmiennym składzie organizacyjnym.

Dowództwo frontu włoskiego nie miało dotąd dużo do czynienia ze sprawą polską i oddziałami polskimi. Wartość bojowa 2 Korpusu nie była jeszcze wypróbowana, nie mogła więc być brana pod uwagę przy rozważaniach reorganizacyjnych. Autorytet osobisty gen. Andersa opierał się tu na razie tylko na przeszłości i jeszcze nie miał takiego znaczenia, które mogłoby wpłynąć w zasadniczy sposób na stosunek Brytyjczyków do zagadnień polskich.

Sprawa uzupełnienia przyszłych strat bojowych była właściwie nadal aktualna, lecz na razie nikt jej tu nie poruszał. Nie tyle kurtuzją, z jaką Angolicy odnosili się do nowych współtowarzyszy walki, była przyczyną tego stanu rzeczy, ile zaważył tu fakt, że przed dowódcą 8 Armii Brytyjskiej, w skład której wchodził 2 Korpus Polski, stało trudne i odpowiedzialne zadanie otwarcia drogi na Rzym w dolinie rzeki Liri. Nie można było myśleć o reorganizacji, bo trzeba było biec się.

Gen. Leese, dowódca 8 Armii, zaproponował gen. Andersowi wykonanie przez 2 Korpus Polski natarcia na odcinek klasztoru Monte Cassino i przyległych gór.

Był to odcinek trudny, na którym nie powiodło się poprzednio Amerykanom, Anglikom.

Francuzom i Hindusom. Oczy całego świata były obecnie skierowane na ten właśnie skrawek ziemi włoskiej i na starożytny klasztor, w perzynę obrócony przez tysiące bomb lotniczych i obficie zlany ludzką krwią.

Gen. Anders przyjął zadanie z całą świadomością jego wagi i znaczenia. Wiedział, że bój ten nie zagubi się w całości innych działań i stanie się na zawsze powodem słusznej dumy dla całej Polski. Rachunek swój General oparł przede wszystkim na pełnym zaufaniu do podwładnych — od generała do najmłodszego szeregowca.

Zwycięstwo, które odniesiono w bitwie o Monte Cassino, było uzyskane napędem do ostatnich granic wszystkich sił moralnych i fizycznych wojska. Zostało ono wywalzone nie tylko dzięki ofiarności i odwadze, z których od wieków słynął żołnierz polski, lecz również dzięki i innej enocie, która tu wystąpiła mocno i wyraźnie. Cnota ta była wytrwałość i upór w osiągnięciu postawionych celów. Tym właśnie żołnierz polski pod Monte Cassino najbardziej zaimponował angielskim kolegom i zdobył uznanie najwyższych przełożonych dla korpusu.

Zwycięstwo przyniosło wszystkie korzyści, których się spodziewano, lecz naturalnie nie mogło zmienić głównego nurtu dzieł i uchronić Polski od przyszłej, nowej okupacji bolszewickiej.

Duże straty w ludziach wysunęły znowu na porządek dzienny sprawę uzupełnień. Dowództwo 8 Armii przypuszczało, że w obecnym stanie 2 Korpus nie będzie mógł wykonać większych zadań i wysunęło projekt zmniejszenia go do rozmiarów jednej dywizji piechoty, wspartej jednostkami pancernymi.

Sprawa opierała się o dowódcę frontu włoskiego, gen. Alexandra. Gen. Anders i tym razem przeciwstawił się stanowczo tym planom. Miał teraz już nieodparty argument w postaci osiągniętego tylko co zwycięstwa i mógł żądać zaufania i do siebie, i do swych żołnierzy. Mógł zapewnić dowódcę frontu, że chociaż "uzupełnienia z tamtej strony frontu" jeszcze napływać nie zaczęły, mimo to 2 Korpus wykona każde nowe zadanie, które przed nim stanie.

Dowódca frontu zaufał gen. Andersowi i reorganizacji nie zarządził.

2 Korpus objął samodzielny odcinek operacyjny na wybrzeżu adriatyckim oraz uzyskał

głębokie i rozległe zaplecze, mające doskonałe warunki do rozwoju instytucji społecznych. W ten sposób zapewniony został na najbliższy okres czasu byt 2 Korpusu i jego "małej Polski".

Napływ Polaków — jeńców z niemieckiej armii — zaczął się już wkrótce i wzrastał w miarę posuwania się korpusu naprzód. Dzięki temu jego stan liczebny powiększał się. Po kilku miesiącach, kiedy większa część Francji była już wolna od najeźdźców, zaczęli przybywać do Włoch żołnierze i cywili dotychczas tam się ukrywający.

Kiedy zaś front przesunął się do rdzennych Niemiec, masowo napłynęli żołnierze-jeńcy z 1939 roku i z AK, oraz tysiące ludzi cywilnych, wywiezionych na roboty. Tak więc walka o byt 2 Korpusu i odpowiedni jego udział w zespole sprzymierzonych miała również swój cenny wyraz i w wojnie.

Małe miasto Ancona, kwatery dowództwa korpusu, stało się prawdziwą stolicą Polski cywilnej i wojskowej we Włoszech, prawdziwym ośrodkiem niepodległości i pracy społecznej, oświatowej i wydawniczej.

W chwili przybycia na front włoski 2 Korpus miał około 50 tysięcy żołnierzy, a w chwili zakończenia wojny liczbą ta wzrosła do 112 tysięcy żołnierzy i około 8 tysięcy ludności cywilnej, znajdujące się w osiedlach i szkołach korpusnych. Anglicy po ustaniu działań wojennych ustalili etat korpusu na 90 tysięcy ludzi, i na tę liczbę wyplacali należności. Mimo to nadwyżka w postaci kilkunastu tysięcy ludzi została utrzymana i była nadal przez sam korpus zaopatrywana, podobnie jak to miało miejsce w 1942 roku na terenie Związku Sowieckiego.

Ogromna większość żołnierzy 2 Korpusu znalazła się następnie na terenie Anglii, gdzie aż do chwili likwidacji korpusu nadal okazywał pomoc w miarę swych sił i istniejących możliwości.

Tak przedstawiała się realnie zyciówka pod Monte Cassino w zakresie naszych spraw społecznych i ogólnopolskich, skutki często nie doceniane lub nie dostrzegane.

Rachunek dziejowy naszych polskich strat i zysków jeszcze nie jest zamknięty. Niech nie zagaśnie w naszych sercach wiara, że doczekamy się, być może niedługo, jego dalszego ciągu.

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Walczące Dzieci

Pchor. Zagrzejewski, z 2 komp., który właśnie niedawno otrzymał maturę, widząc, że pod gradem granatów grupa Niemców wpadła do pustego schronu, zapał od rannego celowniczego piat, z którym nie umiał się obchodzić, wyrwał śpięsząc się okrutnie — z kolana; rzuciło nim tak dokumentnie, że w najbliższej chwili chłopak był sobie, pocisk sobie, piat sobie, a nieprzyjaciel jeszcze gdzie indziej. Klnąc okrutnie (najbardziej fasonowo klną maturzyści i Pestki, jako że odstawiają weteranów) zapał ponownie krnąbrny piat, zdążył — z Niemców w przebitym bunkrze zrobiła się miązga, z innych poczęli zmykać. Wymachują przy tym flagą z Czerwonym Krzyżem. Stropili się na moment żołnierze — patrzają: a tu Szwabcy przy fladze że szmajserami zapychają. I coó strzela.

—Panie kapitanie — wołają żołnierze do kpt. Kowalewskiego — ten mani, a tamten... strzela. Tworzyli ogień — podstępny Niemiec się potoczył. Pchor. Gasiński nie wytrzymał. Wyskoczył z bunkra z tomiganem. — Pędzić ich! — woła półdziesięcinnym głosem (Tadzio Gasiński przed kilku miesiącami otrzymał maturę w Barbarze). Wskoczył na sąsiedni bunkier, który mu przesłaniał uciekających Niemców. Dostał serię. I cały roznamiętniony, grający najszczytniejszą rolę wobec kompanii w najdramatyczniejszym teatrze świata, krzyknął: "Gasiński nie żyje!" i stoczył się martwy z bunkra.

Widziałem ich w Barbarze — ten najstarszy rocznik, tym różny od młodszych pętałów, że miał karabiny. W nakredowanych białych pasach, z granatowo-żółtymi dystynkcjami, chłopcy próci jak świeca defilujący przed generałem Sńkowskim, przypominali podchorążych 1831 r.

Idąc na pozycję, pisali: "Mamusiu — jeżeli nie wrócę, proszę się nie martwić"

i obracali ółówek w rękę i nie wiedzieli jak wythumaczyć tej matce; wielkich słów o Polsce nie chcieli im się pisać, a jak tu małymi słowami pocieszyć? Więc stawiali kropkę i podpis z zakreślasem.

Na pozycji w ogniu, meldowali się, przepisowo, łykając groźne okrzyki: "Kładź się, szczeniaku".

Gasiński nie żyje, Jurek Jasiński nie żyje, Madejski nie żyje, nie żyje Okulicki i Anatolek Żak, nie żyje Jerzy Chmielewski, i Genio Bargiewicz, i Kłopotowski, i Kubiejda, i Mickowski, i Miarkowski, nie żyją dziesiątki maturzystów, których dohodowaliśmy się na Bliskim Wschodzie.

Uczyli się pod namiotami, przyjeżdżali na egzaminy wprost z pozycji, żołnierskie otoczenie darzyło "szczeniaków" szorstką i pobłażliwą miłością. Pólpisimmi gospodarze z Kresów podejmowali za młokosów służbę. Tak zwierze, kiedy spłynie krewią, instynktownie je zioła, które je wzmocnią.

Inaczej czepiała się geografia ich, którzy widzieli Zorzę Polarną i wielbłądy, inaczej nauki ścisłe — ich saperów, artylerzystów, łącznościowców, repitstów, inaczej historia i literatura — ich, żołnierzy bez ziemi, śledzących rozszerzonymi oczami codziennym komunikat, co miesięcznie macherkę, co kwartalny zawód i każdej godziny nasłuchujących — co w Kraju...

Ich poprzednicy mieli drogę krótszą — od ponagce browaru na Solcu do Belwederu. Te nasze dzieci skorbutowymi nogami maszerowały od Kołomyi,*) odhodowaliśmy ich w Iranie, poczęliśmy

uczyć w Iraku, kontynuowaliśmy w Palestynie i w Egipcie, grzebaliśmy we Włoszech.

Dzieci nasze! Młodości — gorzka jak piotun na każdym calu świata.

Gdy przeciwuderzenie niemieckie kosztowało naszych szczęściu zabitych i dwurannych granatami odparto — w stronę naszych stanowisk pędzi jak oszalały młodziak w niemieckim mundurze, żołnierze chwytają za broń.

—Dyć nie strzelajta — jo Polok. Jo Polok.

—Ze Śląska Zaolziańskiego — woła wpadający wreszcie między swoich, nie mogąc złapać tchu.

I podczas, kiedy trup Tadzia Gasińskiego leży jeszcze pod bunkrem, Jasio Gazur z Jablonkowa, nie znając jeszcze naszego sprzetu, ujmuje nosze i nosi pod ogniem rannych.

—Jasio Gazur z Jablonkowa, przybyły z armii niemieckiej na uzupełnienie Tadzia Gasińskiego z niewoli rosyjskiej.

*) Było ciężko. Bolszewicy ograniczyli do 44.000 porcyj, a i tych nie wydawali. Ambasador Kot nalegał, by ewakuację cywilnej ludności polskiej wstrzymać, bo mu utrudnia sytuację. Gen. Anders się uparł — kazał przyjmować. Wytwarzała się piękna tradycja 2 Korpusu, która ponownie miała zabyśnąć przy ewakuacji Polaków z Niemiec.

—Prawda, że ich rżnikom nie oddamy? pytał przed wyciągnięciem szeregami gen. Sulik, podnosząc wysoko umoruszone bąka.

—Nie!... Nigdy!... Zabierać dzieci — wołał żołnierze i płakali.

(Wyjątek z książki p.t. "BITWA O MONTE CASSINO" — Melchiora Wańkowicza).

*Niech nikt nie szarpie imion i szat nie dzieli.
Nie trzeba im przemówień. Nie trzeba im płaču.
Padli w słońcu majowym, na szczytach, bo chcieli
Śmiercią trudną ukazać szlak trudnych przeznaczeń.*

(Jan Olechnowski)

KRUK Z MONTE CASSINO

*Nie grały im fanfary trąbek włoskich
Szli do ataków, meże jak w tony;
Działa grzmiały wystrzałami w bunkry nepla —
Kruszyły, miażdżyły waty sił teutońskich.
Widmo, Angelo — otwarte to szlaki jak rany
Bez których nie ma, nie może być zwycięstwa.*

*Zwycięstwa to zawsze krwawo okupione znoje;
Tyle, tyle ofiar ległych, tyle też żon, matek, dzieci.
Zdobyty klasztor Monte Cassino otworzył swe podwoje —
Ruiny, zgłiszcza; czyż nie fatum, czasu duch uleci,
To kruk na gruzach się dzwici — hej ile to stuleci?
To, to nie dawno, lat może nie wiele byli tu Lechici.*

*Kruk poznaje, to napewno — hej to ci Polacy,
Tak, Dąbrowskiego Legiony dawne, lecz inne stroje:
Battledress'y, syrena, świerk, zubr na rękawie.
To oni wdarli się, choć tamali zęby inni wojacy —
I te krzyże białe, tych ległych co dali przykład Warszawie.*

Buenos Aires, 18.5.1969



APEL ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO W ARGENTYNIE

Jak ogólnie wiadomo, w niedługim czasie, na stokach Monte Cassino, odbędzie się szereg uroczystości, związanych z 25-tą rocznicą bitwy, w której tak decydującą rolę odegrali Polacy. Głęboka i piękna myśl, przekazania ideałów i tradycji "z ojca na syna", symbolizuje Światowy Zlot Harcerstwa Polskiego, który będzie trwał od 5-go do 20-go sierpnia. Ze wszystkich kontynentów stawiają się drużyny, złożone z dzieci tych, którzy z bronią w rękę walczyli na długiej drodze "z ziemi włoskiej do Polski".

Zarząd Okręgu Z.H.P. w Argentynie, pragnąc ułatwić i umożliwić udział jak największej liczbie młodzieży, postanowił utworzyć Fundusz Złotowy.

Pomoc — w celu pokrycia przelotu polskich harcerzy i harcerzy z Argentyny do Włoch — nie będzie polegać na apelowaniu do społeczeństwa o składanie datków pieniężnych. Akcja ludzi dobrej woli już się rozpoczęła. Powstała myśl zorganizowania loterii, na którą się złożą bardzo wartościowe fanty. Inicjatywa znalazła natychmiastowy odzew. W ciągu kilku dni, członkowie Zarządu Z.H.P., zdołali zebrać około dwudziestu fantów i w tym miejscu pragniemy serdecznie podziękować ofiarodawcom za:

obrazy — p.p. Barbarze Nikisz, Piotrowi Pawluczukowi, Czesławowi Czar-

nowskiemu, Ryszardowi Białowskiemu, Stanisławowi Gąsowskiemu i Tadeuszowi Dąbrowskiemu; za rzeźbę w drzewie p. Jerzemu Jurewiczowi; za obrus recznej roboty p. Irmie Orda; za kopię arrasu i portfel p. Wiktorii Machnikowej; za album Milenium Polski p. Stanisławowi Farkasowi; za szyjkę z nurka p. Zdzisławowi Skarbek-Tuchowskiemu, i p. Henrykowi Majewskiemu za komplety chodników do samochodów. Na powyższy cel ofiarowali również p. Wencelaslo Nowiński 5.000 pesos i N.N. 4.000 pesos.

Powyższe fanty zostaną wystawione w Domu Polskim. Wkrótce pojawią się numerowane losy, których ciągnięcie będzie oparte oparte na wynikach głównych wygranych Loterii Państwowej w dniu 15 sierpnia 1969 r.

Zwracamy się do społeczności polskiej z gorącą prośbą o poparcie naszej imprezy, w nadziei, że każdy zakupi przynajmniej jeden los. W tak pożyteczny i piękny sposób ułatwimy młodzieży w Argentynie bezpośrednio zetknięcie się z rówieśnikami z innych krajów, zrozumienie naszych historycznych dokonań i z przeżycia wielu niezapomnianych wrażeń.

CZUWAJ!

Zarząd Okręgu Z.H.P.
w Argentynie

WŁADYSŁAW BELZA

ŚWIĘTA MIŁOŚCI

Święta miłości kochanej Ojczyzny
Oto w Twą służbę wchodzi hufiec nasz.
Od lat najmłodszych, do późnej siwizny
Pragniemy przy Tobie czujnie trzymać straż.

Pragniemy spajać nadziei ognia,
Ze nam zwycięstwo da nabyty hart.
Ze i Ty z nami będziesz szczęśliwa
I każdy syn Twój będzie ciebie wart!

Równajmy krok, wytężyjmy wzrok,
Czy się gdzie podstęp nie kryje.
Uderzmy w ton, silny jak dzwon:
Polska niech żyje, niech żyje!

RÓŻA OLEKSÓW

W ANDACH

Spotkałem orta na skatach
Poznałam go, to on — ten sam,
Którego w godle mam.
Spojrzał na mnie, głowę zniżył:
Kim jestem — spytał
I się zbliżył.
Rozmawiał ze mną długo.
Mówił, jak cieszy się szczerze,
Że widzi w Andach polskich harcerzy.
On się w tych górach urodził —
Polski nie zna,
Ale pamięta, że ród jest z Gniezna
I co dzień o tej porze
Siada na skałę,
By dumać o lechickim borze.
Tak bardzo pragnie wrócić
W swe ojczyście strony,
Ale nie może —
Nie może wracać bez korony.
Musi ją zdobyć znów —
Wypalczyć wśród trudu, burz i groma,
Gdy ją zdobędzie — powróci razem
z nami
Do rodzinnego domu.
Spojrzał na północ
Skrzydła rozwinął —
Za mną — zawołał, do gór!
Czołem dotykaj chmur,
Wciąż wyżej i wyżej się pni!
Pokonuj trudy, ze śmierci drzwij —
Idź, aż do śnieżnych szczytów
Tam musi starac krzyż.
Ty go postawisz — wzmuku Lechitów!
Nakreślisz na nim te proste słowa:
"Szczyt ten zdobyli synowie bohaterów
Spod Monte Cassino, Warszawy,
Lwowa!"
Jesteś harcerzem — Polakiem
Pracjów musisz iść szlakiem —
Pamiętaj, że twoja droga:
To służba Polsce i miłość Boga!

Buenos Aires, luty 1969 r.

Poświęcone przez autorkę, 14 letnią harcerkę
uczestniczką Wysokogórskiej Wyprawy

"TATRY 2".

ś. p.

Marek Korneliusz Gaiński

Marka poznałem, gdy miał 7 lat i chodził do sobotniej szkoły polskiej prowadzonej przez ks. Szczepana Walkowskiego w Związku Polskim w Quilmes. Tam też wstąpił do gromady zuchowej "Dzieci Wilna", którą założyła dhna Wera Mozolewska. Potem Marek pojechał na kolonie zuchową w Santa Catalina i od tego czasu zawsze Jego wesola i zarazem pogodna twarz będzie towarzyszyć nam w pracy harcerskiej, której jest uczestnikiem jako harcerz 4 Drużyny Harcerzy im. Andrzeja Maikowskiego w Quilmes.

Marek urodził się dnia 3 stycznia 1950 roku w Lomas de Zamora (prowincja Buenos Aires). Oboje rodzice byli w 2 Polskim Korpusie we Włoszech. Matka, p. Stanisława należała do Kompanii Kantyn, a ojciec, p. Czesław — oficer 6 Kompanii Saperów brał udział w całej włoskiej kampanii. W bitwie o Monte Cassino, budując Drogę Saperów zdobywa Virtuti Militari.

Marek uczęszcza do szkół: powszechnej, a po zakończeniu teje zapisuje się do technicznej w Temperley, gdzie mieszkałi rodzice. Ucząc się, równocześnie pomaga ojcu w jego pracy zawodowej (konstrukcja studzien). Zdobywa czas na pracę harcerską. Jest też doskonalnym sportowcem, uzyskuje dla swej drużyny wiele sukcesów.

Nie zabrakło też Marka przy zakładaniu Harcerskiego Klubu Andynistycznego "TATRY" w Argentynie. Bierze udział w 1-szej Wysokogórskiej Wyprawie. Na wiadomość o organizującej się 2-giej wyprawie ogarnia Go entuzjazm. Postanawia należeć do ekipy, która pójdzie na zdobycie szczytu "Monte Cassino". Marek chce dorównać ojcu. Ze zdwojoną energią studuje, nie przestając pomagać ojcu.

Marek należy do ekipy zdobywającej szczyt "Monte Cassino". W tej walce z górą jest Jego udział. Nie zabrakło Go w wyprawie po nowy szczyt, po zdobyciu którego ginie.

Odszedł na Wieczną Wartę Harcerz rokujący wspaniałe nadzieje; odszedł Andynista, którego ciągnęły wysokie góry; odszedł obywatel Argentyny, ale równocześnie Polak, który w swym młodym sercu umiał dobrze pogodzić swe przywiązanie i miłość do dwóch Ojczyzn. Tej co przysparza Jego rodziców, gdzie się urodził, gdzie żył pełnią Swej młodości i tej dalekiej, a jednak bliskiej — Ojczyzny Jego rodziców i Jego sen daleki.

Odszedł — zostawiając nas w żalu tym większym, że nie możemy rzuścić grudki ziemi na Jego Grób. Narazie otuliły Go góry, które ukochał. My jednak będziemy zawsze z Tobą — Marku myślą i pozostaniemy wierni Twojej pamięci.

Drużynowy



O PRZYJACIELU I GÓRACH

Taki tytuł dałem listowi, który otrzymał ojciec Marka Gaińskiego z Tunuyán od naszego wspólnego przyjaciela — andynisty.

Przypisek redaktora
(Tłumaczenie z hiszpańskiego)

Szanowny Panie,

...Przy okazji chciałbym również wspomnieć o Marku. Nie po to, aby odnawiać tak bolesne rany. Ani dać w ten sposób upust naszej pasji do gór. Choć ten pęd do zdobywania wysokości jest tak bardzo podobny do umiłowania wolności. Nosi go się wewnątrz, jako część nieodłączną sposobu życia i myślenia, wobec którego nie mają znaczenia trudności, jakie należy przezwyciężyć, aby móc iść naprzód.

Bolejemy, rzecz jasna, nad utratą kolegi tak pełnego nadziei na przyszłość. I to tym bardziej, iż mieliśmy okazję poznać Go bliżej w czasie dwóch wspólnych wypraw.

Marek był świetnym towarzyszem w górach. Jego pogoda ducha, nie opuszczająca Go nigdy wesołość odznaczały się szczególnie przy ogniskach biwakowych, gdzie dobry humor i dowcip mają tak wielkie znaczenie dla całej grupy.

Proszę mi wierzyć, Panie Gaiński, iż ja i moi koledzy oplakaliśmy szczerze stratę Marka. Cała ta grupa Polaków stała się dla nas czymś więcej, niż zwykłymi towarzyszami przygód. Wiemy, że wrócimy i cieszymy się, iż będą powracać nie raz jeszcze. Bo my tutaj stale chodzimy na szczyty, gdzie powietrze jest tak czyste, a niebo bardziej błękitne; gdzie niebezpieczeństwo jest naszym stałym towarzyszem.

Sądzę, iż ludzkość doszła do obecnego stopnia rozwoju właśnie dzięki temu, iż zawsze byli tacy, którzy zamiast uchylać się trwożliwie, umieli stawić czoło trudnościom i niebezpieczeństwom. Ilu padło i ilu padnie jeszcze, nie wiemy. Jedno jest pewne dla nas. To, iż zawsze będą tacy, co nie zważają się dążyć wyżej i wyżej.

Proszę przyjąć moje serdeczne pozdrowienia

Miguel E. Abrego
San Martín 1086
Tunuyán, Mendoza



Pamiątkowa tablica na pomniku Gen. San Martín w Manzano Histórico (Mendoza)

Phm. KAZIMIERA RAFALIK

PAMIĘCI MARKA — ANDYNISTY

Rodzicom Marka — poświęcam

*Idą, idą radośni, piosnce wiatr wtóruje,
Oczy zachwytów pełne biegną wciąż ku górze,
Co cielskiem granitowym podpiera strop nieba.*

*To nic, że wiatr oddechem lodowałym smaga
I wśród skał nieznanych trudna górską drogą,
Ciągłe wznęz ku szczytom skąpanym w błękitcie,
Gdzie śnieg biały bielszy i gdzie bliżej Boga.*

*Szedłeś w górę radosny, śmiały, uśmiechnięty —
Nie słyszac, że wiatr halny requiem zanucił.
Szedłeś, by na szczytach dla Polski zdobytych
Z Monte Cassino garstkę ziemi rzucić.*

*Stało się. Wiatr zawył, łomot, trzask i grzmoty,
Jęk długi, złowrogi toczy się przełęczą
I oto na skale wśród huków lawiny —
Złożyłeś na sen wieczny swą głowę młodzieńczą.*

*To nic, że mgły geste, zimne, otoczą Cię nocą
I skał zębry milczaco przystaną na straży. —
My kręgiem serc naszych opleciemy przepaść
I będziemy z Tobą o wyprawie gwarzyć.*

*I będziemy znów pełnić jedną, wspólną wartę:
Ty u stóp Boga w mundurze, w berecie —
A my przy pracy zbrutni piosenką
Na cześć tej ziemi, co najmiłsza w świecie.*

Buenos Aires, marzec 1969.

A P E L

Harcerski Klub Andynistyczny "TATRY" w Argentynie zwraca się z uprzejmą prośbą do wszystkich Polaków a szczególnie do Was Druhni i Druhowie o poparcie budowy pomnika-schroniska górskiego im. Harcerza-Andynisty h. o. Marka Gaińskiego.

Ofiara życia złożonego przez Niego wymaga upamiętnienia i utrwalenia w kamiennym schronisku, które stanie w sercu gór w miejscu, gdzie działał śp. Marek Gaiński.

Dary należy wysyłać na następujący adres:
UNION SCOUTS POLACOS EN ARGENTINA,
calle Serrano 2076, Buenos Aires, Argentina.

Cz u w a j !

KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI
Sekretarz Klubu

W. W. Blicharski, hm.
Prezes Klubu

* * *

Serdecznie dziękujemy: pp. W. Nowiński — 1.000.—, dr. A. Wysokiński — 500.—, A. Till — 1.000.—, Zieliński — 10.050.—, Helena Roj z Kanady — 5 dol., Zastęp Instruktorów "Iskry" z Detroit, USA — 10 dol., Klub Polek z Buenos Aires — 3.000.—.

Kto następny? Czekamy!

Hm. W. W. Blicharski

WYSOKOGÓRSKA WYPRAWA "TATRY 2"

WSTĘP

Znana już z rozlicznych notatek prasowych i reportaży Wysokogórska Wyprawa "Tatry 2" zakończyła się dużym sukcesem w postaci zdobycia czterech szczytów pięciotysięczników w Centralnych Andach Argentyny, ale też i niestety przyniosła bolesną stratę. Za miłość Polski i umiłowanie gór oddał swe młode życie — harcerz orli Marek Korneliusz Gański, jeden z założycieli Harcerskiego Klubu Andynistycznego "TATRY". Szereg zorganizowanych wypraw po zwłoki śp. Marka nie dały rezultatu. Pierwsza, przeprowadzona przez pozostałych uczestników wyprawy wraz z naszymi przyjaciółmi z Tunuyán: Jorge Marius i Andrés García, omal nie zakończyła się jeszcze większą tragedią. Fenomen klimatyczny: brak śniegów podczas ostatnich dwóch lat i długotrwałe gorąco spowodowały topnienie lodowców i nieprzerwane lawiny kamieni i skał. Nie dały też rezultatu 2 wyprawy wojskowe: 11 Zgrupowania Górskiego z Tupungato i Kompanii Narciarskiej z Puente del Inca oraz kursu wysokogórskiego z Bariloche. Ostatnia, przeprowadzona w czasie świąt Wielkiej Noey przez H.K.A. "Tatry" i 2 andynistów z Tunuyán i Club Talleres de Mendoza tak samo nie powiodła się; świeżo spadły śnieg uniemożliwił wyprawie dostanie się do miejsca wypadku. Śnieg ten pokrył zbocza górskie i wypełnił żleb, w którym spoczywał Marek.

Bezpośrednio po wypadku prasa argentyńska podkreślała niejednokrotnie patriotyczny cel wyprawy polskich andynistów, z których wielu urodziło się w Argentynie. Nie dziwnego — prawie wszyscy uczestnicy to córki i synowie żoł-



1



2



3

nierzy polskich 2-giej wojny światowej. Wśród nich znalazła się wniczka obrońcy Lwowa, Przeważając większości uczestników — rodzice walczyli w Bitwie o Monte Cassino. Celem wyprawy było zdobycie dziewiczego szczytu i nazwanie go szczytem "Monte Cassino" dla uczczenia poległych żołnierzy, którzy spoczywają w ilości ponad tysiąca na cmentarzu montekasyńskim.

Projekt wyprawy zrodził się dość wcześniej, bo jeszcze w marcu ub. roku, bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wyprawy "Tatry". Do realizacji projektu przystąpiono rzeczowo. Miłośnicy sportu górskiego zorganizowali Klub, który powstał przez połączenie się dwóch ośrodków: Mendoza i Wielkiego Buenos Aires. W Mendozie przebywają polscy andyniści: prof. Mieczysław Zaręba (samotny zdobywca przed osiemnastu laty szczytu "Krakus" oraz kierownik wyprawy, która zdobyła w r. 1966 "Polonia Milemaria), inż. Kazimierz Żurawicki (uczestnik tej wyprawy) i inni. Harcerstwo Wielkiego Buenos Aires niezarzytkowało obozy górskie w Cominchengones (góry prowincji Cordoba), oraz w ubiegłym roku pierwszy wysokogórski obóz "TATRY 1".

W lipcu ub. roku andyniści polscy z Mendoza wraz ze swymi przyjaciółmi z Klubu Tunuyán przeprowadzili rozpoznanie na zachód od Tupungato i odkryli kordon górski, dotychczas jeszcze przez nikogo nie eksplorowany; znajduje się tam 7 dziewiczych szczytów, ponad 5.000 m npm.

Harcerski Klub Andynistyczny "TATRY" formalnie powstał 15 września 1968 r. i natychmiast zgłosił swe przystąpienie do Federacji Andynistycznych Klubów w Argentynie (FASA). Rozpoczęła się energiczna praca w Klubie i szykowanie się do wyprawy, a



4



5

1. Przygotowanie do wymarszu.
2. Widok na masyw Monte Cassino.
3. Monte Cassino (5.220 m.).
4. Drugi z lewej szczyt "Tatry 2" (5.370 m.).
5. Na szczytcie "Tatry 2".

więc gromadzenie sprzętu, żywności oraz zdobywanie funduszy. Trzeba też przyznać, że nie mieliśmy dużego poparcia. Z okazji naszej loterii zarzucono nam, że podcinamy byt Funduszu Społecznego. Pomoc udzieliły następujące organizacje i osoby: SPK, Zarząd Okręgu ZHP, Komenda Chorągwi Harcerzy, KPH in Quilmes i Ojciec Rektor dr. Ł. Luszczyki. Pieniądze z tych subwencji poszły na zakupno potrzebnego sprzętu. Uczestnicy zaś sami pokryli koszty wyprawy.

Wyjazd z Buenos Aires nastąpił w dniu 4 stycznia 1969 r.



Marek Gaiński i Ryszard Czerniawski

Playa de la Horqueta, 13.1.1969

W BAZIE

Wyruszyliśmy na Trzech Króli z Mendoza kolumną trzech wozów. Kierunek naszej trasy prowadził przez Tupungato, Puesto Santa Clara (ostatni posterunek żandarmerii) do Tres Quebradas. Górską drogą począwszy od posterunku żandarmerii wiedziliśmy niebezpiecznymi serpentynami. W dole rzeka przełomem przebiega się przez góry, których strome ściany, urwiska i zbrocza pokryte są piargami. Niektóre z nich spadają pionowo aż do bystro płynącej rzeki Santa Clara.

Transport samochodowy zapewniła nam "Adelphia" — polskie przedsiębiorstwo zajmujące się budową linii wysokiego napięcia, oraz p. Stanisław Parzewski, którego silny pick-up jedyny dotarł aż do samego schroniska Plan Cordillerano, zresztą i tu kończyła się droga. Inne wozy utknęły na przeprawach przez rzekę, której podniesiony stan wód i glazy zalegające koryto — stanowiły trudności nie do pokonania.

Następnego dnia (7-my stycznia), na grzbietach młotów dostarczonych przez wojsko i na własnych plecach przetransportowaliśmy ponad 600 kg żywności i sprzętu terenem bardzo trudnym. Odcinek ten do Playa de la Horqueta wyniósł około 12 km. Nie odbyło się bez przykrości. Tym razem niektóre muły wzięły sobie "za sport" zrzucając ładunków z grzbietów. Nie potrzeba bujnej wyobraźni dla przed-

stawienia sobie jak ten ładunek wyglądał: worki wałaly się konserwy i najrozmaitsze paczki.

Playa de la Horqueta (la horqueta — widły), nazwana tak przez Jorge Mariusa, leży w głębokiej polodowcowej dolinie. Wody naniósł piaski, które pokryły niskopienne krzaki — yarretas. Jak niebawem odkryliśmy stanowiły te yarretas doskonały materiał palny. Na tej polanie, nad małym jeziorkiem zakładamy naszą bazę. Jezioroko tworzą wody dwóch potoków łączących się właśnie tutaj — stąd nazwa bazy — widły. Nasza baza leży na wysokości 3.500 m npm.

Kierownictwo wyprawy przedstawiało się następująco: hm. W. W. Blicharski — komendant, prof. Mieczysław Zaręba — zastępcą i kierownik wypraw, inż. Kazimierz Żurawiecki — komendant Bazy, phm. Ryszard Czerniawski — oboźny. Pozostali uczestnicy, harcerzki: Krystyna Bukietyńska, Elżbieta Czarnobrywa, Krystyna Dukas, Maria Koleda, Ewa Ruchaj, oraz harcerze: Ryszard Borysiuk, Stefan Drusał, Marek Gaiński, Henryk Kozłowski, Jan Parzewski, Leszek Parzewski, Krzysztof Sokolowski i Marian Schönthalner podzieliли się funkcjami: topografa, geologa, przyrodnika, fotografa (tych mieliśmy najwięcej), kierownika stacji meteorologicznej, opiekę lekarską, kronkarcza i kwaterymistrza. Kucharczono na zmianę w podzielonych uczestnikach na grupy.

Życie w bazie prowadzone było na sposób obozów harcerskich.

Pogoda nam dopisuje. Nasza stacja meteorologiczna notuje wszelkie zmiany. Temperatura dnia dochodzi do 25 stopni powyżej zera, ale w nocy spada do 11 poniżej zera. Klimat surowy. Do tego ciągle wiejące wiatry, ze zmieniających się kierunków szarpią liniami i płachtami namiotów; sypią piasek do wnętrza namiotów i do naszego jedzenia. Wiatr to ujemny element naszej doskonale położonej bazy.

Po krótkim okresie rozbudowania bazy i aklimatyzacji, którą przyspieszamy lękając witaminy, rozpoczęło się rozpoznanie terenu. W czasie rozpoznania, w dniu 10 stycznia grupa 10 harcerek i harcerzy weszła na pierwszy pięciotyścznik, którego stoki prawie że zaczęły się w bazie. Osiągnięty szczyt o wysokości 5.070 m npm nazwano "General Iwanowski" dla upamiętnienia Polaka, uczestnika "Wiosny Ludów", który po przybyciu do Argentyny rozpoczął swą karierę od prostego szeregowego aż do generała, nie szczedząc dla nowej, przybranej ojczyzny swej krwi (kilka-krotnie ranny), przy tym nie wyzbywając się swej narodowości. Zginął jako Polak i jedynie generałowi i do tego cudzoziemcowi — Argentynie wystawiła obelisk grobowy, na którym wryto w marmurze słowa: "Wdzięczna Ojczyzna". Chyba po raz pierwszy w historii zdobywania szczytów odbyła się ceremonia harcerska, podczas której modlono się za spokój duszy tragicznie zmarłego, a przy tym zastużonego rodaka.

Góra "Iwanowskiego" przepolawia kordon Cordillera de Santa Clara, na terenie którego działamy. Na lewo od niej widzimy strzeliste szczyty pokryte lodowcami. Ciągną się one lukiem zamykając swymi spadzistymi ścianami kocioł polodowcowy. Środkiem doliny płynie potok bez nazwy, który wpada do małego jeziora, nad którym leży nasz oboz-baza. Z "Iwanowskiego" odkrywamy jeszcze jeden więcej pięciotyścznik o dwu-wierzchołkowym szczycie. W prawo od "Iwanowskiego" wyrasta potężny maszów górski, przedstawiający się jakby obronna twierdza: opasany zwałami spadających niemal pionowo w dolinę moren — ścian, pokryty spadzistymi żłebami, w których zdała bliższą nitkę lodowców i pokryty polami lodowców. Widok prawdziwie alpejski: turnie, pionowe ściany i lodowce, to-

MIECZYSLAW ZARĘBA

DZIEŃ ATAKU NA MONTE CASSINO

Dzień 14 stycznia 1969 r. — to dzień ataku na szczyt. Dzień zapowiada się pogodnie. Wstaliśmy o ósmej. Wcześniej jeszcze było, bo lodowiec, który pozostawał w cieniu był za twardy. Poruszenie się po nim było trudne. Prawie niemożliwe. To też nie było pośpiechu.

Po śniadaniu (płatki owsiane ze sproszkowanym mlekiem, kawałkami masy i rodzynkami), dopasowaliśmy raki Krzysia i Marka. Nasze, które zaczęły "nawalać" daliśmy im do zejścia po lodowcu wdół do obozu drugiego. Posortowaliśmy ostatnie rzeczy do zabrania, m. in. haki lodowe i do skaly, odrzuciliśmy wszystko, co uważaliśmy za zbędne, by nie obciążać się ciężarem.

Po godzinie tych przygotowań i Marek i Krzysz ruszyli w dół, a my, to znaczy Rysiek Czerniawski i ja w górę. Przez pierwsze 250 mtr natrafiamy na dużą ilość pęknięć lodowca. Tenże z powodu

rych języki zwieszają się ku dółowi, niemal spadają w dolinę moren spod których wypływa potok del Medio.

Ta góra — to był cel, który postanowiła osiągnąć nasza wyprawa. Prawdziwe górskie Monte Cassino.

Z bazy ruszyli kolumny obladowanych "tragarzy" do założenia dwóch pośrednich obozów. Do grupy szturmowej zostali wyznaczeni: prof. M. Zaręba, phm. R. Czerniawski, Marek Gaiński i Krzysztof Sokolowski. Oni to po założeniu drugiego obozu na morenie poniżej lodowca, wdrapali się na pole lodowcowe i na nim założyli trzeci oboz. Z powodu późnej pory w małym (dwu-osobowym szturmowym namiocie) zostaje na noc cztery osoby, z których tylko dwie posiada śpiwoary, a na zewnątrz temperatura spada do 20 stopni poniżej zera.

Najazutrz, dnia 14-go stycznia przypadnie dzień ataku na szczyt. Jeszcze wczoraj zdecydowali, że Krzysz Sokolowski i Marek Gaiński porwąć do drugiego obozu, bo rozluźnił im się raki lodowe, a dwóch profesorów (Czerniawski uczy fizyki i chemii w angielskiej szkole w Quilmes) ruszą na zdobycie szczytu.

małego nachylenia otrzymywał pełne nasłonecznienie, które powodowało te spekania. Niektóre szczeliny dochodziły do 10 mtr głębokości i do 3 mtr szerokości. Szukanie najdogodniejszych dróg przejęcia zajmowało nam dużo czasu. Stopniowo wzrastało nachylenie lodowca i doszło do 70 stopni. I im większe nachylenie, tym mniej szczelin i tym niższe napotykałyśmy penitentes. Podchodzimy tak prawie trzy godziny, by uzyskać na wysokości 300 mtr. Odpoczynek w rąda nam na małym skalnym grzbiecie, który skośną linią oddzielał nas od ostatniego lodowca.

Mineło południe. Szybko uciekający czas narzucił nam przyjęcie pewnej decyzji. Analizując nasze dotychczasowe wspinanie doszliśmy do wniosku, że noc zjapie nas jeszcze przed powrotem do obozu. Rozważamy możliwości: powrotu do obozu po śpiworze, albo wysłania silniejszego, by sam próbował zdobyć szczyt. Zgodnie — przyjęliśmy drugie rozwiązanie. Rysiek Czerniawski nieraz już dał dowody swej niezwykłej wytrzymałości i energii, oraz szybkości w poruszaniu się w terenie trudnym. Zdobyl miano "traktora". Był w doskonałej formie. Jako kandydat Oxfordu nie pojechał na olimpiadę akademicką spowodowanego braku marnych 200 punktów w dziesięcioboju. Nie ulegało też najmniejszych wątpliwości, że z nas dwóch — właśnie on ma większe szanse sukcesu. Jeszcze jeden faktor (choć mniejszej wagi) zdecydował o rozdzieleniu się. Chcieliśmy zostawić jakąś argentyńską nazwę w tym dziewiczym paśmie górskim. Moim więc zadaniem było podejść w lewo (na południe) i zdobyć bliższy szczyt leżący po drugiej stronie przełęczy, lub też samą przełęcz. Przy pożegnaniu umówiliśmy się co do miejsca i czasu spotkania (na godzinę 18-tą), by razem w ubezpieczeniu zejść po lodowcu do obozu. Rysiek wziął filmówkę, a ja miniaturowy aparat "Minox".

Podchodziliśmy teraz obydwać pod górę, choć Rysiek wziął kierunek w prawo, a ja w lewo. Postać jego malucha coraz bardziej, aż znikła za jakimś grzbieciem. Uczucie samotności ogarnęło mnie z momentem przerwania się wzkrokowej

łącności. Przypuszczam, że on też to samo odczuwał, gdyż nieraz oglądał się do tyłu.

Od szczytu, na który wzięłam kierunek, dzieliło mnie kilka kilkusetmetrowej wysokości uskoków, utworzonych z tak kruchej skały, że po trzygodzinnej wspinaczce, gdzie szczęście ważniejsze było od techniki — dałem za wygraną. I sam nie pamiętam już, kiedy i jak i do tego szczęśliwie zszedłem spowrotem do siodła (wysokość 4.800 m npm.). Po odpoczynku, podczas którego posiłem się sucharami z kawałkami czekolady, popitymi wodą z cytryną, zbudowałem z kamieni kopczyk. Wewnątrz niego w plastikowej torbie umieściłem książkę przełęcz "MARTIN FIERRO", argentyński odpowiednik "Pana Tadeusza) oraz flagi Polski i Argentyny i proporczyk wyprawy. Potem koleją na fotografie i podziwianie rozległej panoramy górskiej. Z przełęczy widać było szczyty: Marmolejo, Tupungato i bliżej mnie Nevado del Plomo. Nie długo zabawiłem na przełęczy, po której wiatr z olbrzymią siłą miotał się i wionął lodowatym zimnem.

Powoli i ostrożnie zacząłem zchodzić w dół. O godzinie 6-tej osiągnąłem umówione miejsce spotkania się z Ryskiem. Nie ma go jednak. Szczyt, który chcieliśmy zdobyć i nazwać "Monte Cassino" wydaje mi się bardzo daleki. Skracam czas gryząc suszone owoce (kilka śliwek i fig). Piekącą od wiatru i słońca twarz posmarowałem specjalnym kremem aluminiowym (krem o nazwie "TATRY 2") zrobił dla wyprawy dr. A. Wysokiński) i czekam. W miarę jak wydłużają się cienie skał na płaszczyźnie lodowca, tak ciemnieją moje myśli. Czy udało się Ryskowi osiągnąć szczyt? Gdzie jest przełęcz? Szczyt widać wyraźnie. Zbudowany jest ze skały ciemno-brązowej zwietrzałego bazaltu. Ściany nie są tak strome, jak ta z którą niedawno borykałem się, ale czy skała jest mocna, czy też krucha? Może Rysiek odpadł od ściany? Takie newsesole myśli krąży w mej głowie.

Między szczytem, a mną rozciąga się biel ogromnego lodowca, wzdłuż bardzo długiego grzbietu góry. Trawersując po lodowcu, ale poniżej linii brzkowej,

Phm. RYSZARD CZERNIAWSKI

Na Szczycie "Monte Cassino"

Po rozstaniu się z Zarebą rozpocząłem się wspinaczkę. Kierunek marszu wzięłam na skalny grzbiet, który oddzielał mnie od głównego, dużego lodowca. Lodowiec ten rozprzestrzenił się aż do szczytu.

Początkowo wspinaczka szła mi niezłe, ale przedzwano (jak się później okazało) była moja radość. Ani nie wyobrażałem sobie, co mnie czeka w dalszej wędrowce.

Patrząc z daleka na ten lodowiec (nawet przy użyciu silnej lornetki) przedstawiał się jako łatwy obiekt do pokonania. Wyglądał na równą — połyskującą w słońcu — powierzchnię. Obserwując z Mietkiem zauważyliśmy tylko

by mieć osłonę od wiatru, powinien wracać Rysiek. Stąd, odemnie jest tylko 450 mtr wyżej, ale zato... daleko. Czekam już prawie godzinę. Patrzę na lód. Płamy śliskiego (zabarwienia niebieskiego) lodu zaczynają nieraz nieprzyjemnie twardnąć. Decyduję się iść na poszukiwanie towarzysha. Ale, właśnie w tej chwili widzę zielonkawy punktik daleko na lodowcu. Odwrócenie i radość. To on! To Rysiek w swym zielonkawym anoreku schodzi w moim kierunku. Nowa myśl i wątpliwość: czy "Monte Cassino" zdobyte?

Dociegam rami i ruszam na spotkanie. Gdy jest bliżej poznaję po jego chodzie, jak wcale jest zmęczony. Przyspieszam jak mogę. Niebawem już się słyszmy.

Szczyt zdobyty! Rzucaemy się w objęcia. Popękane wargi krwawią przy pocałunku. Łapiąc oddech jak ryby wyrzucone na ląd, wzięmy się lina i bez straty czasu ruszamy w dół. Byłe przy świetle dziennym dojdź do namiotu. Byłe tylko dojdź, zamknąć się w nim i w śpiworze, zapomnieć o nocy, o lodowatym wietrze, który przechodzi przez cienkie ścianki namiotu i o 1.200 mtr przepaści lodowca. Dojście do tego pałacu, raj — o wadze 1 kg i 200 gr, stojącego na wysokości 4.500 mtr npm staje się marzeniem i w tej chwili jedynym w życiu — celem.

kilka dużych pęknięć. Szczeliny zaobserwowane ciągnęły się przez całą szerokość lodowca. Dla niewtajemniczonych w zagadnieniach geologii wspomnę, że lodowiec jest w ciągłym ruchu, tak jak pełzał ku dółowi, aż wreszcie zwiśla nał zerwami skalnymi szeregami języków lodowych. A szczeliny tworzą się przez obniżenie dolnej części lodowca. Spotyka się kilkumetrowej szerokości. Są też podobne do wielkich jaskiń. Jak już poprzednio wspomniałem niektóre z nich przecinają cały lodowiec, inne zaś są krótsze. I te łatwo obejść. Z górnej ściany szczytowej zwiśają setki sopli lodowych, a dolna partia najeżona jest jakby stalagmitami. Całość w efekcie tworzy jakby obraz rozwartej paszczy jakiegoś przedhistoerycznego, olbrzymiego monstrum. Za rzędnymi tyłi sopli-zębów wzrok gubi się w tajemniczej ciemni, coś jakby w przerażającej otchłonie gardzieli. W niektórych miejscach sopie górne i dolne łączą się w jednolite kolumny.

Ale na tych szczelinach nie skończyły się moje trudności. Bo prócz nich trzeba było pokonać jeszcze penitentes, którymi usiany jest cały lodowiec. Nieraz już andyniści opisywali to zjawisko, które wzrokowo można sobie wyobrazić jako olbrzymi tłum pokutujących śnieżnych mniczków. Penitentes nie występują w Europie, nawet na najwyższych szczytach takich jak: Mont Everest, Matterhorn lub Eiger.

Penitentes można opisać jako kolumny zlodowcałego śniegu ciągnące się niezliczonymi szeregami przez lodowiec. Każdy jest połączony jakby pokrywą śnieżną (która można wyobrazić sobie jako habit zakonnika) stad nazwa mniszki), z ponad której wystają jakby głowy i ramiona. Może samo określenie penitentes (pokutujący) nie odnosi się do form lodowych, ale do osób, które muszą się po nich wspinac. Niesłychanie utrudniają wspinaczkę łb schodzenie. Za każdym razem trzeba się wspiąć (spotykałem penitentes od 1 do 2,5 mtr) na grzbiet szeregu, a potem zejść o półtora metra w dół, aby znów wejść na następny szereg. Odległość pomiędzy szeregami były duże, by móc je przeskoczyć. Za każdym więc razem musiałem wyrębywać czekaniem schody.

l to była mordęga. Po kilkunasto minutowej wspinaczce byłem obłany potem. Do tego słońce grzało niemiłosiernie. Ubrany byłem ciepło jak na lodowiec, więc po ciele płyną mi strunyki potu. Nadmiar słońce stopiło wystarczające ilości lodu i śniegu, tak że kaluże wody wypełniły kotlinki pomiędzy rzędami penitentes. Brodząc w wodzie po łydki. Dziwna sytuacja: z czoła i po ciele płynię pot, a palców nog od zimna nie czuję.

Po godzinnym marszu stanąłem przed nową szczyliną. Tej już objeść nie mogłem, ciągnęła się bowiem wpoprzek lodowca. Usiadłem na czubku penitenta i wyciągnąłem z kieszeni trochę suszonych owoców i kawałek czekolady. Grzygnę to, równocześnie zastanawiam się nad sytuacją. Jeszcze z obozu trzeciego zauważyliśmy tę szczylinę i postanowiliśmy ją objeść przez wspięcie się aż do skalnego grzbietu wierzchołka od lodu. I trzeba było to uczynić w miejscu rozstania się z Mietkiem Zarębą. Za nisko więc wszedłem na lodowiec, a wracając nie mogę i na nowo zaczynać wspinaczki, bo przegram wyścig z czasem. Decyduję się iść wzdłuż szczyliny i szukać przejścia na drugą stronę. Miałem szczęście. O kilkadziesiąt kroków dalej natrafiłem na kolumnę, która łączyła oba brzozy szczytów. Wysoka na cztery metry i gruba na około pół metra (a może mniej, bo łatwo ją objąć rękoma) posłużyła mi za most. Posługując się czekaniem, rakami, a nawet paznokciami — wdrapałem się na drugą stronę szczytów. Rozwartą paszczą szczytów dodała mi takiego animuszu do walki z nią, że zapomniałem o niebezpieczeństwie zjechania w dół. Na drugiej stronie odpocząłem chwilę po tym nadmiernym wysiłku, zadowolony iż problem przejścia został rozwiązany.

Z tego miejsca pomaszerałem wprost na grzbiet góry. Wydawał mi się on niedaleki. Za mną zostały rzędy penitentes i napotkałem tylko na krótkie szczytów, które łatwo omińnię. Patrzę na zegarek. Minęła już czwarta po południu. Docieram do grzbietu. Do szczytu pozostaje mi jeszcze około 60 mtr wysokości. Radość zaczyna rozsadzać mi pierś.

Cały przebieg akcji obserwuję z obozu trzeciego Krzyż i Marek przez lornetkę. Widzą mego zmudnego posuwarę się pod górę.

Jestem na grzbiecie. Usiadłem na brzegu lodowca i zdejmuję raki. Nie potrzebuję ich na szczył. Nowo posłam się suchymi owocami i czekoladą.

Skala to moja specjalność. Jeszcze podczas studiów uniwersyteckich miałem zwyczaj znikania z domu i spędzania paru tygodni na wspinaczkach skalnych po ścianach Północnej Walii, Szkocji, Lake District lub Avon Gore. Nie pomyślałem też próbnych cwieżeń w czasie roku szkolnego. Na budynkach starego miasta uniwersyteckiego (Oxford) wieszalełem ciężki garderobny mek kolegów w miejscach niedostępnych dla zwykłego śmiertelnika. Tam też, my, miłośnicy górskiej przygody tworzyliśmy "klub kotów".

Ale ta skala to co innego. Zdradliwa. Zwie-trzały bazalt, ten najgorszy wróg każdego wspinacza. Musiałem iść jak kot z "poparzo-nymi łapami". Wiele razy usuwały mi się spod nóg i ręk odłamki skał mniejsze i większe. Po kilkunastu minutach ciągnąłem się na potężny głaz. I w tym momencie otrzymałem potworne uderzenie wiatru, tak silnego, że czymprędzej padam na skały, by uchronić się od zmiecenia w dół. Już podczas wspinaczki na lodowcu — na ostatnich kilkunastu metrach — wiatr wiał z wielką siłą. Ale ten był wiatrem nad wiatry: ostry, zimny i tnący jak brzytwa.

Trzymając się skały kłękam i patrzę przed siebie. Wyżej już jest tylko niebo. Szczyt jest zdobyty, jest nasz!

Poję oczy niezwykle widokiem. W kierunku zachodnim, gdzie kordon gór tworzy linię graniczną z Chile widzę lodowce Nevado del Plomo, dalej na południe wznosi się majestatycznie najwyższy szczyt tego rejonu — piramidalny Tupungato o wysokości 6.800 mtr n.p.m. Gdzie okiem rzucić widzę szczyt, całe zbiegowisko szczytów. Najbliższe należą do Cordillera de Santa Clara. Tu wyróżnia się Santa Clara ze swym szczytastym szczytem i pięknymi lodowcami.

Wyciągam wysokościomierz i ledwo oczom wi-dzę — "Monte Cassino" ma 5.220 m n.p.m. Szczyt "General Iwanowski", który zdobyliśmy kilka dni temu wydaje mi się tak bliski, że mógłoby i kamieniem dorzucić, chociaż w linii powiatrznej dzieli mnie odległość 4 km.

Zrezygnowałem z budowy kopczyka na szczytce z obawy, że wiatr mnie zruci w dół. Ostrożnie zszedłem na male siodło i tu zbudowałem z luźnych odłamków skał wysoki kopczyk. Nie zapomniałem o umieszczeniu w nim puszki metalowej, w której prócz książ-ki szczytów znalazły się flagi, proporcek wy-prawy, Krzyż Monte Cassino, i ziemię z po-

Na Szczycie "Tatry 2"

Zdobycie szczytu "Monte Cassino" w dniu 14 stycznia nie było znane w Bazie, nie wiedzieli też o tym grupa wspinaczy, która wyszła wczesnym rankiem na zdobycie innego szczytu. Tworzyli ją: komendant wyprawy, Krystyna Bukie-tyńska, Marysia Koledo i Marian Schön-thaler. Dwie pierwsze, już nieraz były na wyprawach w wysokich górach, Ma-rian zaś po raz pierwszy.

Po przejściu pampy "de los guanacos" trasa (którą poprzedniego dnia rozpo-znała Krystyna z Marianem) wiedzie przez kamienne koryto wyschniętego po-toku. Zalegające głązy utrudniają poruszanie się. W górnej części napoty-kamy pomiędzy głązami płynący potok, miejscami całkowicie zamarznięty. Po-tem koryto potoku kończy się. Jesteśmy w niedużym kotle polodowcowym, któ-rego strome ściany są utworzone z ru-mowiska zwietrzałego bazaltu. Szukamy łagodniejszego podejścia i czeplając się pewniejszych skał osiągamy grzbiet. Przypuszczaliśmy, że to będzie prawdo-podobnie droga podejścia na szczyt. Idąc

Łojowska sławnej bitwy o Monte Cassino oraz z grobów harcerek Batalionów "ZOŚKA" i "PARASOL". Filmuję panoramę i robię zdjęcia drugim aparatem fotograficznym.

Teraz już czas do odwrotu. Docho-dzę do miejsca, gdzie postawiłem plecak i raki. Pe-silam się resztą suchych owoców. Bardzo mi smakuja. Nakładam raki i ruszam w drogę. Idę kilkadziesiąt metrów poniżej grzbietu, któ-ry chroni mnie od wiatru i gdzie penitentes są niskie i nie utrudniają marszu. Po dwu i pół godzinie schodzenia dochodzę do miejsca, gdzie wszedłem na główny lodowiec. Czuję jak zmę-czenie przenika każdą tkankę mego ciała. Wpatrzony w grzbiet mam wrażenie, że ruszy-ła się jakaś skala. Niemożliwe! Podnożę się na nogi i patrzę. Ciemny punkt staje się co-raz bardziej widoczny na białej płaszczyźnie lodowca. Poznaje — to Mietek idący na spot-kanie. Jeszcze kilkanaście minut i padamy so-bie w objęcia. Zadanie spełnione.

grzbietem zdobywamy metr po metrze. Dawno minęło już południe. Wspinaczka nasza trwa już ponad 6 godzin. Za-czynamy odczuwać wysokość. Jesteśmy na wysokości 5.000 m n.p.m. Od naszej bazy wspięliśmy się już półtora kilome-tra w górę. Grań zwęza się, zaostrza się i stromieje. Naprzód "zapuiliły" się druhnny, a potem Marian. Biorę dwa aparaty fotograficzne i flagi; będę próbował sam, a szczyt wydaje mi się już nie daleko. Przechodzę kilka partii tak wą-skiej granii, że przechodzę ją jak na ko-niu. Muszę badać każdy metr skały. Chwiejące się odłamki zrzucać w dół. Docho-dzę do szczytu. Jednak za nim, za małym siodłem grań pnie się stromo w górę. Dwie godziny trwało pokonanie o-ostatnich 300 mtr wysokości. Zwietrza-łe skały bazaltowe utrudniają wspinanie. Muszę czekać moment dłużej oparcia dla nóg i zdobywając metr po metrze wy-chodzę na kopułatę szczyt. I tu czeka mnie niespodzianka. Widzę dwa szczyty pokryte spornymi odłamkami skały bazal-towej. Godzina 16-ta. Nowy szczyt "Tatry 2" o wysokości 5.370 mtr n.p.m zdobyty dla wyprawy. Budowa kopczy-ków na dwóch szczytach i kilkadzie-sięć zdjęć fotograficznych zabiera mi blisko godzinę czasu. Schodzę tą samą drogą i łączę się z pozostałymi, którzy zeszli jeszcze niżej, by uniknąć skutków punu.

Do obozu wróciliśmy około pierwszej w nocy.

ZAKOŃCZENIE

Następnego dnia w bazie znalazły się wszystkie grupy. Panuje radość spowodu zdobycia trundnego szczytu "Monte Cassino" i w ten sposób osiągnięcia ce-lu wyprawy. Następuje prace likwidacy-nyne. Na bazie pozostają: Rysiek Czer-niawski, Henio Kozłowski i Krzyż So-kołowski, by czekać na muły. Inni obła-downi plecakiami schodzą do schroni-ska w Tres Quebradas na nocleg i na-

stepnego dnia po drodze do posterunku w Santa Clara napotyka ją na wozy prowadzone przez inż. H. Rossi i p. St. Parczewskiego, którzy (a szczególnie p. Parczewska, która jak mama zajęła się nami) po nakarmieniu głodnych, zawożą członków wyprawy do Santa Clara. Tu czeka już "asado" przygotowane przez naszych przyjaciół z "Adelphii". Dopiero teraz wychodzą muły po nasz sprzęt i pozostałą trójkę. Muły wyprzedza dh Harok, który wraz z drugim pracownikiem "Adelphii" udają się na bazę, częściowo taziikiem, a najwięcej "per pedes".

W dniu 18 stycznia byli już wszyscy w Mendoczie.

W drugiej fazie wzięło udział tylko 5 członków wyprawy: W. W. Blicharski, K. Bukietyńska, R. Czerniawski, M. Gański i H. Kozłowski. Trasą z Mendoczi udali się do Tunuyán, skąd wynajęta ciężarówka podzuciła ich do doliny Yarratas. W dniu 22 stycznia z bazy założonej niedaleko przełęczy Portezuelo Argentino wyszli: R. Czerniawski i M. Gański w kierunku na Polonia Milenaria. W dniu 25 stycznia zdobyli oni w kordonie Pómez nowy pięciotyściznicznik, który nazwali "BÓR-KOMOROWSKI" dla uczczenia 25-tej rocznicy Państwa Warszawskiego. Przy schodzeniu żłebem zginał od lawiny kamieni 19-letni harcerz-andymista h. o. Marek Gański. Akcja wydobycia zwłok, przy której wraz z członkami wyprawy współpracowali nasi przyjaciele z Klubu Tunuyán; Andrés García i Jorge Marios nie powiodła się z przyczyn, o których pisałem we wstępie do tego reportażu.

W dniu 26 stycznia nastąpiło odsłonięcie tablicy pamiątkowej umieszczonej na cokole pomnika gen. San Martín'a w Manzano Histórico. Tablicę odsłonił inż. H. Rossi, który w kilka dni później zginął w katastrofie samolotowej. Tablica upamiętnia 25-rocznicę bitwy o Monte Cassino i zdobycie szczytu o tej samej nazwie. Tablicę tę ufundował Komitet Obchodu 25 Roczniczy Bitwy o Monte Cassino z Buenos Aires.



AKCJA OBOZOWA

Tegoroczna akcja obozowa była niezwykle urozmaicona. Duża ilość obozów w rozmaitych stronach Argentyny. I tak harcerki miały jeden centralny obóz w La Quebrada, Rio Ceballos (prowincja Cordoba), przy którym znalazła pomieszczenie kolonia zuchowa prowadzona przez dhnę Dankę Francką. Na terenie tejże samej prowincji rozbiły swe oboze: 4 Drużyna Harcerzy z Quilmes w Dique de la Quintana ("Naroz IV"), 5 Drużyna Harcerzy z Llavallol w Rio de los Sauces — Calamuchita ("Leśnych Ludzi"). Trzeba też uzupełnić tę suchą notatkę: obok harcerek pomieścił się mały obóz 3 Drużyny Harcerzy z Belgrano ("Trzy Piórka"), Buenos Aires; 4-ta obozowała wraz z "Bobrami" z Cordoba, a z 5-tą byli harcerze z 6-tej z Maciaszkowa i zastęp "Skorpionów" z San Justo. Starsi harcerze z 4-tej wzięli udział w Wysokogórskiej Wyprawie "Tatry 2".

A teraz głos oddaję reporterom poszczególnych obozów.

Wyprawa wróciła do Mendoczy i Buenos Aires dwoma rzutami. Późniejsza była grupa ratunkowa, która przyleciała samolotem do Buenos Aires w dniu 30 stycznia 1969 r. Doskonaly wynik wyprawy i radość jej uczestników z wykonania zadania przysłonił tragiczny wypadek, okrywający żałobą rodzinę, wyprawę i Związek Harcerstwa Polskiego.

Do złotej księgi tatarnictwa wpisane zostało nowe nazwisko: harcerz-andymista h. o. Marka Gańskiego.

W. W. Blicharski

phm. Kazimiera Rafalik

O JESZCZE JEDNYM OBOZIE!

Trudno mi jest pisać o obozie, na którym byłam komendantką. Łatwo bowiem, przyszłowiwa "samochwała" przylgnąć może do mojego imienia. By więc uniknąć tego nie bardzo zaszczytnego przydomka, opiszę Obóz Harcerek "Niepodległość" w migawkach, a łaskawo czytelnik niech sobie według własnego widzi-mi-się wysnuje wnioski.

Mirra, kadzidla i złoto.

6 stycznia, a więc w dzień Trzech Króli byliśmy już na obozie rozlokowane. Po ciszy nocnej w namiocie komendy jak w przepelnionym tramwaju — ciasno i gwaro. Około godziny 11-tej uchyła się poła namiotowego fartuszka i oto Trzej Królowie jak z noworocznej pocztówki wychodzą na plac. Chór instruktorek zawodzi głośno... "monarchowie, gdzie spiesznie spieszycie?..." Królowie przybierają tajemnicze miny, wchodzą do namiotu imienia "Chrzanowskiej". Tutaj rozpylają rzęsiste nad każdą harcerką pachnące wody, posypują obficie talkiem wychylające się ze śpiworów głowy i wrzeszczu ku uciezce rozbudzonych rodzaja ciastka i cukierki na obozie zawsze jak złoto pożądana. Od namiotu do namiotu chodzą rozmiaiana procesja. Obóz ożył. A gdy Królowie stanęły u drzwi Kolonii "Orly Białe" zuchy już szalały i odrzu powiedziały, że Dorotka Mozołewska — obożna to Melchior, Krysią Orłowska — sanitariuszka — Baltazar, a Krysią Kulesza — Kaecer.

Harcerki strzegące tajemnicy omiały, a zuchy chrupiące Baglejewskie ciastka kładziały: dobre było, dobre — dziękujemy!

Bambusia i Burek.

Ona mała, biała i kudłata psina z konieczności przyjechała na obóz. Bambusia, bo takie było jej psie imię, już na drugi dzień była właścicielką terenu. Toteż, gdy zjawił się na obozie pies przybłąda o dużym puszystym ogonie, Bambusia odszczekując go zajadła — od-

mówiła gościny. Psa nazwano Burkiem, chociaż białe futerka ozdabiała mu czarne łaty. Burek przyrzeczył się do "habskiego gadania". Na Bambusiu kiwał opaczem i z harcerkami chodził na wszelkie spacery. No i zdarzyło się, że Burek z obozem poszedł na wyścieczkę w góry. Druhenki były wesole, pies szczekliwy, droga malownicza i pogoda jak marzenie.

Co myślał Burek, gdy w czasie odpoczynku leżąc na brzuchu obserwował harcerki — nie wiadomo. Pewne zaś było co myślały harcerki: jak Burek zejdzie z góry? Rada w radę i w wyniku: przy schodzeniu w dół podawano sobie psa z rąk do rąk delikatnie, jak jajeżkową wydumskę. Szczęśliwie psisko zużyło ze szczęścia oczy — nigdy przeciw ludzkie ręce nie okazały mu tyle pieszczoły.

Harcerki do obozu wróciły śpiewając — Burek też. Bambusia na powitanie obszczekała radośnie wachlującego się ognem Burka: "na wyścieczkę byłeś, co mi tam — i tak do Komendy nie wejdziesz". No i nie wszedł. Nie wiadomo, czy bał się swojego kudczaka, czy może raczej, by ustąpić — i oszdić: "niech się gręś kopnie!"

Zwierz.

Widnomo było na obozie, że druha Kazia "marynuje" owady. Zuchom bardzo to zajęcie przypadło do gustu. Toteż, gdy znalazły owada, żadna przeskoda nie powstrzymała ich by odszukać dhnę Kazię.

Pewnego dnia wpada do namiotu różowy jak jabuzisko Janek: "Druhno, prędzej, bo zobaczyliśmy strasznego zwierzaka". Nie wiem, co mam łapać: pipetkę, flaszeczkę z eterem czy toporek? Po minucie stoimy już pod obrzymim eukaliptusem. Z pod kory drzewnej wylaży pajak na długich, cienutkich nóżkach. "Jan-ku, to nie zwierze, to pajęk". "Jęko nie" — oburzył się czupurny zuch: "on żyje w lesie, więc jest dziki, a jak dziki — to zwierze". Wszystkie pajęki są dzikie — powiadam. "A rie" — przerywa mi Janek — "te co mieszka-

ją do domu — są domowe”. No i tak zaczęła się pogadanka o przyrodzie, o tym co wokół nas rośnie, fruwa i skacze.

Zwycięstwo.

Kamień u wejścia do namiotu “Topoli” nie tylko “Topolom” przeszkadzał. Stale któraś mówiła: wyrzucić, bo brzydko wygląda. “Topole” zaczęły więc kopać. Inne zastępy kończyły ozdoby, a one jeszcze kopały. Kamień różni jak legenda — im więcej go podkopywano, tym okazywał się większy. Gdy po kilkunastu godzinach zastępy z ziemi wyłonił się potężny garb — obóz wyruszył do walki. Na garb zarzucono liny i na komendę: raz, dwa, trzy — kilkanaście torsów naprzęło się z wysiłku. Olbrzym drgnął. Ponowiono próbę. Za czwartym dopiero razem oklejony ziemią kołos przewrócił się na brzuch. Wiwaty napłynęły las. Kamień jako trofeum ustawiono przed namiotem. “Topole” natychmiast wymalowały na nim swój listek i nazwę.

Przyswoić “w jedności siła” w praktyce okazało się bardzo pożyteczne.

Co wycieczka — to rzeczka.

Na tropienie wyszliśmy zaraz po śniadaniu. Harcerki, podzielone na dwie grupy, poprzędziły cztery instruktorki znacząc trasę różowym i niebieskim kolorem. Do Estancja szło się malowniczym jarem o urozmaiconym zarzewieniu. Zapach ziół i kwiatów, świergot ptaków — zwiastowały piękny dzień. Gdzieś niedaleko tylko białe chmurki strzępiły lazur nieba. Po dwugodzinnym marszu docieramy do góry. 700 m to w Quebrada przeciętna wysokość. Drzewa na szczycie góry wabią ciemną plamą cienia. Instruktorki wdrapują się na szczyt. Basia wypróbowała piechur, Alinka, Krycia zawieszają różowe i niebieskie chorągwie. Po półgodzinnym oczekiwaniu w gardzieli jaru pojawia się pierwsza grupa. Widzimy ją dokładnie. Niestety nie poszły nasza droga, a skręciwszy z biegiem rzeki oddaliły się. Druga grupa szła pewniej — a zobaczywszy na szczycie swój kolor, rozpoczęły wspinaczkę.

Cztery instruktorki odstawiają ofiary: zemdlną, ze złamaną nogą, z wykręconą ręką, i z udarem słonecznym. Czekają na pomoc. Nareszcie pierwsze z grupy na szczycie! Po pewnym czasie na szczyt wdrapują się harcerki z

blądzącej grupy. Całość rozpoczyna wspólną wędrowkę. Długim węzłem schodzimy na drugą stronę góry.

Nagle, jakby ktoś worek kamieni wysypał na szczyt. Grzmot, a za nim jeden, drugi, trzeci, każdy mocniejszy i bliższy. Nadechliśmy burzę, niebo ciemnieje. Zwiększamy tempo marszu. W porze obładowej jesteśmy już w dole nad rzeką. Posiłek wspaniały — ale nie czas na zachwyty. Deszcz chlusał z gór ostrym biczem. Dzielimy się na grupy i z koczów montując dach człapiemy z biegiem rzeki, przy tym wypiewując: “nie lej descu nie lej”. Do obozu wracamy w stanie nie do opisanego. Wszystkie ociekają wodą. Zmieniamy ubrania i do łóżek. Gorąca herbata i spać do kolacji.

Zachód słońca był już pogodny, mimo to zamiast ogniska zrobiliśmy na werandzie u zamków śpiewającej kominek.

Świat za szybą.

Gdy autobus “Turismo” ruszył z Rio Ceballos — rozpoczął się nieprzerwany łańcuch piosenek. Te same harcerki, które na godzinie śpiewu ledwie buzia ruszały, teraz śpiewały, aż szyby drzwoniły.

Jedziemy na całodzienną wycieczkę krajoznawczą. Przez zalesioną zboczą gór, dziesiątkami zakrętów docieramy do La Falda, gdzie w jasnym kościełku słuchamy Mszy świętej. Jest niedziela. Po zwiedzeniu miasteczka ruszamy piękną trasą: Cosquin z malowniczą plażą, El Rosara, gdzie zwiedzamy fabrykę przetworów owocowych, La Cumbre, Los Cocos ze swym żywoplotowym labiryntem i Capilla del Monte na tle czarnego w tej chwili szczytu Uritoreo. W El Zapato krajobraz inny — nagie skały tworzące przedwziewne figury to buta, to łba zwierzęcego, to kłęzącego młucha — pełne są dzikości.

Po posiłku wspinaczka do słynnego buta. Z wysokości góry widać więc wyłazającą za pasma wzgórz burzę. Schodzimy w dół, by skryć się w mizernie zbudowanym rancho, obwieszonym produktami na sprzedaż. Leje! Czekamy chwilę na nasz autobus skracający czas oglądaniem prymitywnych wystaw. Nareszcie skok do stojącego u drzwi autobusu i jazda.

Ruchome firanki strug deszczu tworzą za oknem szarą kurtynę. Szum kół i deszczu zlewa się w jedną smutną nutę. Lby wzgórz toną we mgłę, drzewa poddają się z pokorą rze-

siste chłocście. Świat za szybą jest teraz inny! Wiszące płatami mgły przesłaniają horyzont i tylko przydrożne drzewa zaglądają w szyby. Drugi patrz! uparcie w okna. Przeżyj burzę w górach, chociażby w ślimaczącym się pod górę autobusie... to przeżyje. To pozna nie innego oblicza natury! Myślę, że dobrze iż przesła nad nami ta burza, bo zwiedzanie — zwiędzaniem, a przeżywanie — przeżyciem.

Apostol.

Książd Kuźma, proboszcz z Pueblito, mimo lat bielejących jego skronie, jest pełen życia i humoru. Już w czasie pierwszej wizyty w obozie zadowolony harcerki. Prawdziwy duszochwył! Na uroczystość do jego parafii, gdzie wznosił własnym zabiegiem kościół, rwały się wszystkie. W Pueblito uroczysta Msza św. w nowym kościele, celebrowana przez biskupa Primatasta z Cordoby, procesja, a wieczorem popisy na parafialnym kiermaszu. Udział obozu w uroczystościach jak najbardziej udany. Po popisach, składających się z tańców ludowych i śpiewów, długo nie możemy rozstać się z sympatyczną, wypytującą nas o wszystko publicznością.

Wracamy śpiewając, aż autobus jęczy od tych wesołych piosenek. Świadomość, że spełniliśmy coś dobrze, głodzi po sercu.

Książd — apostoł, rowerem przemierzający górskie dróżki — z rozczuleniem żegnał obóz. Jego słowa wpisane do kroniki: “swym zachowaniem wspaniałym podniósłście wysoko nasz sztandar i imię Polaka” — to dla nas najmilszą z najmilszych pochwał.

Zielony Dzień.

“Trzy po trzy” melduje się i składa raport Jola na zielonym alarmie o 4-tej nad ranem. Rozbudzone wrzaskiem harcerki wychodzą z namiotów, śmiejąc się od ucha do ucha. Komenda nie ucieka, a więc Zielony Dzień zapowiadane się wesoło. W ogólnym białaganie Zielonego Dnia tylko komenda wie co ma robić — gotować.

Organizacja kuchni nastąpiła szybko. Po śniadaniu na obozie panuje błogosławione lenistwo, a w kuchni fabryka pierogów z mięsem. Instruktorki klepią, wałkują, kręcą, kleją, przeplatując te czynności śmiechem jak rodzynkami. W południe ustrojone w kolorowo-

biułówkowe sukienki i kokardy zapraszają “szanowne paniątki” na obiad. Moment bardzo wesoły, nowy i sympatyczny. Obóz głównym “brawo” dziękuje za pyszny obiad. Cisza poobiednia ściera wszystkich z nóg: 600 pierogów na stan 63 zrobiło wosy. Ociełałość zwyciężyła i w namiotach zapanowała senność.

Kąpiel i podwieczorek przeszły w wesołym nastroju. Komendantka Zielonego Dnia, Bożena, uwilaja się jak fryga.

Nagle popołudniową pocztą nadeszły list o tragicznym wypadku wśród andynistów — obóz napełnia płaczem. Któraś szybko z masztu zdejmując zielone kolory. Druhenki zbite w gromady lamentują. Rozpacz zbiorowa kolyse się niemal w gałgachkach drzew. Podwieczorek niektęmiel zostaje na stolech. Podzielone na grupy druhy wychodzą na spacer. W małej grupie łatwiej otapanować żale.

Na drugi dzień nie mówiło się już o Zielonym Dniu — smutek opieczętował usta — wspólne głębokie przeżycie tragedii przekonało nas, że jednak jesteśmy jedną rodziną.

Misterium polskości.

Dankę poznałam w czasie, gdy złoty, gruby warkocz nosiła upięty w piękny wieniec. Była obożna. Obóz w Santa Catalina śpiewał Jej wtedy wesołą piosenkę:

Danka tu — Danka tam”.

Obóz ten, jak i inne późniejsze, przeszedł do kronik harcerek, a Danka zniknęła mi z oczu. Spotkała ją dopiero w towarzystwie Anuli i Oleńki. Wyjechałyśmy na obóz i w dniu otwarcia stanęły pod białoczerwona flagą. Anulka — przyszłość. Ona — tron młodego pokolenia i ja, której rozkolekaty tramwaj życia dojeżdża do przystanku “starość”. Przeżyłam głęboko te chwile... i donatam jakby ośłania. Pręde mą stała bowiem odpowiedź na męczące nas często pytania “czy warto?” Tak warto by oazy polskości wśród nas powstałe, zamieniły w piękne parki narodowe. Ale trzeba, ale trzeba chcieć — tak jak Danka. A kiedy znów przejdzie 10 obozów harcerek i pod flagą staną zuchy tych zuchów, które tu kiedyś były zuchami — zrozumiemy, że warto było rozpalać harcerczą watę pod niebem przekreślonym Krzyżem Południa.

Wycieczka Zuchów

Pewnego ładnego dnia cała kolonia zuchów wybrała się na wycieczkę. Mieliśmy zamiar dojść do "Cascada del Tello" w La Quebrada, Río Ceballos. Wyszliśmy zaraz po wczesnym obiedzie. Zuchy były bardzo podniecone i zadowolone, że one też idą na wycieczkę, tak jak harcerki. Najpierw szliśmy wąską ścieżką wzdłuż rzeki, przeskakując od czasu do czasu po kamieniach przez różne mokradła, porośnięte gęstą rzęsą. Naokoło widok był prześliczny, ze wszystkich stron wysokie zielone góry; zdawało by się, że są tak blisko, że wystarczy rękę wyciągnąć, żeby je dotknąć. Zuchy co chwile wykrzykiwały: — drucho, jak tu ślicznie!

Potem zaczęliśmy wspinąć się ścieżką pod górę, coraz wyżej i wyżej. Po drodze spotkał się stado kóz z dzwoneczkami na sztychach. Stary kozioł, przewodnik, przyglądał nam się nieufnie, a małe kozłatka laskawie pozwalały się głaskać. Po dobrej godzinie marszu dotarliśmy na miejsce, rzeczywiście wyjątkowo ładne. Rzeka spada tam z wysokiej skały, tworząc trzy oddzielne wodospady, jak trzy schody. Wdrapaliśmy się wszyscy na skałę i przez pięć minut słuchaliśmy ptaków, wiatru i wody.

Potem byli podwieczorek: przyniesione kanapki znikły szybko, repetom nie było końca. Chłopcy znaleźli małe lodowate źródło wypływające ze skały, dziewczynki zbierały paprocie i kwiaty, a wreszcie inni próbowali łapać maleńkie rybki. Było tak przyjemnie, że nie chcieli się wracać. Późnym popołudniem zwiniliśmy obozowisko. Czas wracać do obozu, żeby zjadąć na kolację.

W drodze powrotnej, idąc wąską ścieżką, natknaliśmy się na górską kapliczkę. Ubraliśmy ją świeżo ubieranymi polnymi kwiatami i paprociami. Ukleiliśmy wszyscy, z mówiliśmy pacierz i zaśpiewaliśmy pieśń do Matki Boskiej.

Może jestelam zbyt sentymentalna, ale różne myśli przelatywały mi przez głowę, jak patrzyłam na tę gromadkę dzieci modlących się i śpiewających po polsku przy małej kapliczce, zabudowanej w górach dalekiej Cordoby.

Obóz 5 Drużyny Harcerzy — Llallavol w Río de Los Sauces

Wybór miejscowości i terenu obozowania był sprawą najpilniejszą w tegorocznej akcji letniej drużyny. Sprzęt kwaterekowy znajdował się pod opieką drużyny w ilości odpowiedniej. Suchy prowiant zakupiony wczesniej, dzięki pomocy K.P.H., był zapakowany i gotowy do drogi. Wszystko było, jak to się mówi "zapięte na ostatni guzik". Datę wyjazdu ustalono na dzień 7 stycznia.

Ale, gdzie zrobimy obóz? Dique de la Quintana brany pierwotnie pod uwagę, zajęła 4 M.D.H., inne tereny znane, nie bardzo nam odpowiadały; a czasu było mało i możliwości jeszcze mniej. Nie ma rady, trzeba szukać nowego terenu. Grupa rozpoznacza z uwagi na pracę, szkołę, egzaminy i inne trudności dysponowała tylko praktycznie dwoma dniami — od piątku do niedzieli. W poniedziałek trzeba było już być — każdy na swoich zajęciach.

Wyruszyliśmy w nieznaną. Na mapie zakreślone były miejscowości, które tylko z nazwy nam się podobały — no i trochę ze słyszenia. Warunków, które teren musiał spełniać było bardzo dużo. A więc musiał być cień, woda do picia, woda do kąpiel, łatwość dostawy żywności; zatem blisko jakiegokolwiek miejscowości, no i opieką lekarską też musiała być zapewniona. Sam teren, oprócz tego, musiał być wystarczająco duży, aby pomieścić obóz w składzie 4 zastępów, komendę, magazyn i wszystkie inne urządzenia potrzebne do normalnego życia zbiorowego. Nie można było zapomnieć o sporcie; boiska także musiały być przewidziane.

Z duszą na ramieniu i wiarą w szczęście przybyliśmy wieczorem w rejon zakreślony na mapie. Krótka przerwa, nieco informacji od miejscowej ludności i w drogę. Tym razem już po bocznych dróżkach, zdaleka od turystów i hoteli; uganialśmy wszędzie, gdzie tylko zdawało się nam, że coś jest warte obejrzenia. Zmęczeni i nieco przynębieni brakiem podwieczora, po zapadnięciu nocy, stanęliśmy nad brzegiem rzeki.

Następnego dnia, już od wczesnego ranka byliśmy na trasie, blakając się cały dzień po szczytach górskich i najrozmaitszych wter-

pach w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Nocą dobrnęliśmy w końcu do Río de los Sauces i znów rozłożyliśmy się na nocleg nad brzegiem rzeki. Dzień następny miał być dniem powrotu do Buenos Aires — a tu nic. Río de los Sauces stało się więc naszą ostatnią nadzieją.

Rano, wraz ze wschodzącym słońcem, wyłoniły się piękne okolice wzdłuż brzegów rzeki; powróciła też otucha i nadzieja. Rejon ładny, o falistym ukształtowaniu zachęcał do poszukiwań. Rzeka wyjątkowo ładna, po obydwu stronach piękne, rozłożyste placzki wierzyb. Stąd też pochodzi nazwa miasteczka. A najważniejsze to woda. Rzadko w górach można spotkać rzekę o wodzie tak ciepłej, jak właśnie ta, już nie mówię o jej krystalicznej czystości i przyjemnym piaszczystym dnie. Z entuzjazmem ruszyliśmy na rozpoznanie. Czas naglił. I oto wczesnym popołudniem znaleźliśmy się przed posiadłością Don Transito Cabral. Sereca zabity nam mocznie! Teren ładny — wszystkie postawione sobie warunki były na nim spełnione — i cień, i woda do picia, i boiska i dużo miejsca na namioty. A rzeka? Właśnie ta piękna rzeka tuż za drogą. Możliwość kąpiel dla wszystkich, bo i płytko było i głęboko, rozległe koryto zapewniało bezpieczeństwo kąpiel beztrudnych zabaw w wodzie. Właściciel — Don Transito, miejscowy góral, o twarzy surowej, łagodnym spojrzeniu i bardzo dobrym sercu, wysłuchał spokojnie o co nam chodzi i jakie mamy trudności. Z ujmującą delikatnością zezwolił na obóz na swoim terenie i z zadowolaniem przepraszał za brak większych wygód. Wróciliśmy szczęśliwi do Buenos Aires.

Miejsce było znalezione, ostatni problem rozwiązany. Obóz drużyny odbył się na terenie Don Transito. Przez cztery tygodnie w "nie wielkiej i odległej miejscowości zwaną "Rzeką Wierzb", na wysokim maczecie powiewała polska flaga obok argentyńskiej, a białozielony proporzeczek 5. Drużyny oznajmiał obecność harcerzy. Blisko 40 osób spędziło tam wakacje, zyskując sobie szczerą sympatię kilku tysięcy mieszkańców Río de los Sauces. Przez cztery tygodnie płonęły harcerskie ogniska, przez cztery tygodnie rozbrzmiewały polskie pieśni i przez cztery tygodnie polscy chłopcy w harcerskich mundurach swoją postawą, zachowaniem i dyscypliną zaskarbiaли sobie sympatię ludności, świeciec przykładem dla innych. Przez cztery tygodnie również, ceniony i kochany przez wszystkich Olejek H. Wróbel — Kapelan Obo-

Obóz 4 MDH "Narocz 4" w Dique de La Quintana

Pośród sosnowych drzewek rozlega się wesoły dźwięk młodzieńczych głosów — śmiech, okrzyki i gwar. Tubylecy, przerżeni najazdem wesołej szarańczy, wyprowadzili się ze swoich gospodarstw i skryli się w czelaciach wokoło polskiej wioski — José de la Quintana i z wyżej upatrzonej obronnej pozycji obserwowali z przerażeniem, co porabia gwarna gromada żyjąca w chatkach z płótna.

Zaobserwowano, że dwa razy dziennie wody

zu w codziennych i niedzielnych Mszach św. biogospodarstwa i wozogaleo się doświadczenie osobiste uczestników. Jeszcze jeden etap pracy harcerskiej pozostał za nami. Obóz przeminął — wspomnienia zostały. Wspomnień tych nie z pamięci naszej nie wymaże, pozostaną one na długie lata i będą dla wielu, a może dla wszystkich, wkaźnikami w ich dalszej pracy i jednym ogniwem więcej łączącym nas w naszej pracy nad sobą. A dla tych druhów, którzy na tym obozie złożyli przyrzeczenie harcerskie, do wspomnień dołączaj się jeszcze niezatarte przeżycie podniosłej chwili świadomego wejścia w służbę Bogu i Polsce, na drogę braterstwa i walki ze złem.

Krótko byłam na tym obozie, okoliczności zmusiły mnie do powrotu do Buenos Aires. "Dokakiwałem" później kilka razy nocami na jeden dzień, aby potem znów nocami wrócić na czas do pracy. To co jednak na tych krótkich wizytach widziałem, napawało mnie dumą i wiarą, że ideały Baden Powella wcielone w ramy Polskiego Harcerstwa, warte są pracy, wysiłku i poświęcenia. Celowo nie piszę o życiu wewnętrznym obozu, o jego radościach i trudnościach, o ćwiczeniach i wycieczkach — zostawiam ten temat otwartym, w nadziei, że uczestnicy sami zechcą podzielić się swoimi wrażeniami i sami napiszą do "Młodego Łasu" o swoich przygodach i przeżyciach.

jeziorka nabierają mętnego koloru i poziom wody przybiera — to wesola gromada pływa i kąpie się. Ryby przerażone, uciekają na drugą stronę jeziora i w celach samobójczych zrzucają się na haczyki rybaków, by uniknąć szaranczy.

Na uboczu, przy ruinach budowli, która kiedyś była domkiem — buchają kłęby pary. W tym miejscu czereda schodzi się cztery razy dziennie i na krótki czas przymiera gwar. Nabierają paliwa na następnych parę godzin. Po zdemolowaniu jadra następuje krótka przerwa, podczas której następuje wiązanie wody, aby przygotować bardzo potrzebny element do wazenia następnej porcji paliwa! Wiazanie wody jest prawie zawsze rytuałem — skonstruowano harcowski "kran" z rury trzciny przez którą cienkimi strumyczkami płynie czysta woda wydobywająca się spod zapory jeziora. Chociaż woda w jeziorze jest zawsze lekko mętna, to jednak woda z kranu jest czysta i przeźroczysta, niemniej jednak potrzeba kilka minut czasu na napełnienie jednego wiadra.

Tubylcy nie mogą sobie wyobrazić co to za dziwny rytuał się odbywa — grupka z chorągiewkami dwu-kolorowymi na jednej stronie jeziora, a na drugiej stronie znów inna grupa, ledwie widoczna z odległości, z podobnymi chorągiewkami. Rzecz niebywała!!! Machają raz jedni, a raz drudzy. Co to może być? Nie dziwnego — tylko gra sygnalizacyjna.

Ledwie to skończyli, znów uprawiają coś dziwniejszego. Jedni zaszczyli w czeluściach krzaków obserwują jak drudzy na czworakach przedzierają się przez zarośla. Nagły krzyk! To człowiekemu się na kolanach, zrywają chustę i jako jeniec wpada w ręce przeciwnika. Cóż to może być? Gra stara jak świat — to podchody.

Ledwie skończyli podchody, wracają zaraz do swojego grodu płciennych chatek i znów powstaje ruch. Wydoływszy z ciemnego kąta jednej z chatek okrągły przedmiot — ciska ją nimi jedni w drugich. Któż widział coś podobnego? A przecież to gra starożytna Słowian — dwa ognie.

Przebieg tych wszystkich działań śledzi czujnym okiem jakiś starszy pan, który co pewien czas wywołuje tego lub innego delikwenta, co przekracza prawidła gry i sprawia mu ojcowskie paternoster. Ten starszy pan to wielec

szanowny i kochany druh Fudalej z Cordoby. Znakomita większość rozhułkanej gromady, to są jego harcerze z rodu "Bobrów" kordobeskich, a reszta pochodzi z rodu Quilmenów, mieszkających na przedmieściach oceanu ludzkiego, zwanym Buenos Aires.

Przypatrując się z bliska ruinom domku z kłębów pary wylania się czasami jakaś niewieścia postać — to pani Bilińska z Cordoby, która żywi czeredę i trzyma ją w stanie zdrowia lepszego, niż ryby w jeziorze.

Słońce, patrząc na nieustanny ruch "Małego Ludu", zmżone samym widokiem tego "perpetuum mobile", zamyka śpiące powieki i kładzie się do snu za zielonym pasmem gór. W jego ostatnich promieniach jezioro lśni srebrzystym połyskiem i w końcu nastaje dookoła cisza. Ale nie na długo. Po słońcu straż obejmuje księżyc, który wychyliwszy się z poza powłoki chmury ze zdziwieniem zastaje gromadkę siedzącą w kolistu na polanie. Ze środka polany języki ognia strzelają w górę i dym snuje się ku niebu. Gromada śpiewa, a echo jej pieśni słychać w najdalszych zakątkach sosnowego lasu.

Późna była już godzina, gdy gnany harcerską dolą, radosną, zjawia się postać wódcz gromadki. Ta zrywa się i otacza nowoprzybyłego. Cóż to za gość, który zjawia się o tak późnej porze? To Wielki Wódz "Małego Ludu" — Komendant Chorągwi, hm. St. Smodlibowski. Przyjechał, aby odwiedzić "Mały Lud" i sprawdzić co on dotychczas zrobił. Tylko na parę dni przybył, bo musi wrócić do swych obowiązków w Wielkim Mieście.

Dnie przelatują jak minuty i wkrótce nastaje zupełny spokój i cisza. Ptaki smutno zerkają na miejsce skąd buchały kłęby pary — już tam nie ma okruszyn dla nich. Chrabaszcze nie mogą zrozumieć, gdzie podziały się lśniące latarnie — niezbędne "sol de noche", których blask wabił ich przez cztery tygodnie każdej nocy.

"Mały Lud" już wyjechał — wrócił do Duzego Miasta, do rodzinnych domów, do książek, do tegoż samego lub innego "karkotłuka". Z kranu przy tamie dalej sęczy się woda, ale nikt już nią wiader nie napełnia.

Obóz zakończony. Ale nie był on pierwszy tutaj i też napewno nie ostatni.

Brodaty Wódz

OD REDAKCJI

Oddajemy w Wasze ręce nowy podwójny numer (65-66) "Młodego Lasu", który wyszedł w nakładzie 500 egzemplarzy dzięki pomocy Komitetu Obchodu 25 Roczniczy Bitwy o Monte Cassino, który pokrył wszystkie wydatki z tym związane.

Składamy na tym miejscu serdeczne podziękowanie Komitetowi Obchodu.

* * *

Następny podwójny numer pisma chcemy wydać w sierpniu b. r. z okazji 25 rocznicy Powstania Warszawskiego. Już teraz prosimy o nadsyłanie materiałów, które muszą znaleźć się w Redakcji najpóźniej do dnia 5 lipca 1969 r.

* * *

Prosimy o poprawienie numeracji poprzedniego numeru z listopada 1968 r. z 52 na 64. Dla zbieraczy poloników podajemy, że w przerwie w wydawaniu "Młodego Lasu" ukazał się tylko jeden numer specjalny (bez numeru).

* * *

Fotografie umieszczone w części poświęconej bitwie o Monte Cassino zostały wzięte z książki Melchiora Wańkowicza p. t. "Monte Cassino". Autorem drzeworytów jest artysta-grafik p. S. Gliwa. Autorami fotografii umieszczonych w części poświęconej wyprawie "TATRY 2" są: M. Schönthaler i W. W. Blicharski.

* * *

Wydawca: Zarząd Okręgu Z.H.P. w Argentynie

Redakcja: Wacław Blicharski i Wanda Nakoniecznikoff

Administracja i Redakcja są czynne w każdy piątek w Domu Polskim (Harcówka) — c. Serrano 2076, Capital Fed., w godzinach od 18 do 21.

BOLETIN INTERNO — SOLAMENTE PARA LOS MIEMBROS



Talleres Gráficos "DORREGO", Avda. DORREGO 1102, BUENOS AIRES — T. E. 54 - 4644